



Człowiek kulturalny

NIE NISZCZY

książek wypożyczonych

119

Swider.

Tania Biblioteka dla Wszystkich.

No 4.

WŁ. K. WÓYCICKI.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

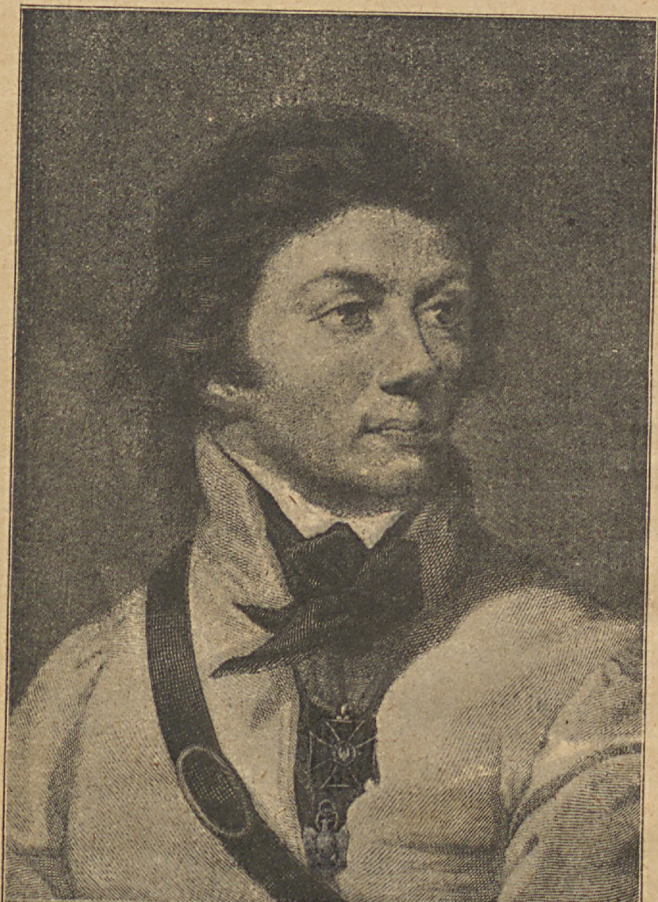


WARSZAWA.

Nakładem Spółki Wydawniczej

JAN ROWIŃSKI I ADAM SOBIESZCZAŃSKI,

Hoża 16.

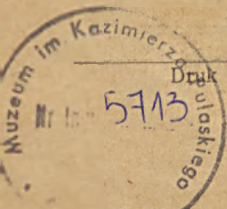


KOŚCIUSZKO

Miasto Międzybóż w województwie pouoi~~szem~~, powiecie latyczowskim położone, nietylko słyneło wspomnieniami historycznymi z bardzo odległych wieków, ale i zamożnością mieszkańców, licznem zabudowaniem, przemysłem i handlem, obok piękne go położenia i dziwnie powabnych okolic. Położone przy zbiegu rzeki Bożka do Bohu, wzięło ztąd swe nazwisko. Gleba rodzajna, podolska hojny plon dawała, a puszcze i lasy ciemniały w oddali i zamykały cudny krajobraz.

Międzybóż w chwili naszej opowieści, w roku 1791, liczył do tysiąca domów, pomiędzy którymi było wiele kamienic murowanych i piętrowych: ozdobił go w rynku ratusz i fara gotyckiej budowy. Miasto wraz z okolicznemi włościami należało wówczas do księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich.

Stary, murowany zamek stał zachowany w całości, lubo o jego mury rozbijały się nieraz chmary pogaństwa. Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski i hetman, którego Międzybóż był własnością, umocniwszy ten zamek, wytrzymał oblężenie od Tatarów. Daremnie tłumy zajadłe liczne szturmury przypuszczały, za każdym odparte, słały się trupami. Widząc niemożność zdobycia tego grodu, w nocy opuścili swe leże. W roku



1615 szczupła załoga musiała patrzeć z rozpaczą, jak nowy, srogi najazd Tatarów ogniem i mieczem pustoszył żyzne okolice Podola, jak z dymem puszczal zamożne osady, a brańców wraz z trzodami, pędził swobodnie na swoje stepy. Mały zastęp rycerstwa z murów zamku, których strzegł i bronił z zażwionemi oczyma, poglądał na dym pożogi ojczystej ziemi, słyszał płacz i jęki nieszczęśliwych zarówno szlachty i kmieci, gnanych pletnią wraz z żonami i dziećmi w pogański jasyr.

W roku 1657 Międzybóż był świadkiem radosnego widowiska, tu bowiem dościgniony niecny najeźdźca Jerzy Rakoczy, książę siedmiogrodzki przez Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego, mając 30,000 wojska i 27 dział, broń złożył i podane wszystkie warunki przyjął.

Od kilkunastu dni Międzybóż nowem zawrzał życiem; nadciągnęła bowiem dywizja jenerała Kościuszki, niedawno przybyłego z Ameryki i rozłożyła się na leże w samym mieście i okolicach. Gwar, nieznanym cichemu dotąd grodowi, napelniał od wschodu niemal słońca rynek, ulice i przyległe pola: jeźdźcy harcowali na dzielnych koniach, piechota spieszyła na poranne mustry, a wszyscy wracali ochoczo, weseli, z radosną piosnką do kwatér swoich. — Była to wiosna już w pełnym rozkwicie, bo w drugiej połowie maja, a wiosna ciepła, pełna balsamicznej woni z rozwitych drzew i kwiecica. Międzybóż wyglądał jak wielki ogród, bo przy każdym domku, przed każdym gankiem najskromniejszego dworku, szumiały lipy, brzozy i wierzy, a w małych sadach i ogródkach bieleły się śnieżnym kwiatem pokryte grusze, wiśnie i jabłonie. Co rano równo z poranną zorzą gęsta mgła to z Bożka, to z Bohu, chmurą bałwaniąc się, nasiała miasto i powoli to opadała w gęstych kroplach, to ulatniała się parą za pierwszym promieniem słońca. Lekko było każdej piersi, co oddychała tak

świeżem powietrzem, przesiąkłem wonią kwiatów, pąków drzew i tym zapachem ziemi orzeźwiający, jaki wydaje ta matka nasza, gdy łono jej pruje lemmieszem dłoń pracowita rolnika wiosną czy jesienią, gdy zaczyna się zielenić młodym plonem niedawno rzuconego ziarna.

Z wiosną też każdego roku powiększała się ludność Międzyboża przybyłymi z dalekich nawet okolic gośćmi. Ściągał ich gromady jeden człowiek, sławny lekarz Stakenszmitt, Niemiec rodem, który osiadł stale w tem mieście i ogromną miał praktykę. Wyuczywszy się języka polskiego, jakkolwiek zarywał z niemiecka, mógł się płynnie i już zrozumiale rozmówić, co więcej wabiło do niego szlachtę. Od wielu lat tu osiadły, wybudował sobie dom, na pochyłem wybrzeżu rzeki, gdzie pozostało jeszcze kilkadziesiąt starodrzewów. Stanowiły one gaj gęsty; w pośród nich bieleł się murowany skromny domek doktora z facjatą i gankiem. Z obu skrzydeł tego dworu były kwiatowe ogródki, w których hodował troskliwie wiele ziół lekarskich, jakich sam używał i przyrządzał je u siebie, bo zwyczajem przyjętym, miał podręczną apteczkę w domu, z której udzielał lekarstw i wezwany w okolicę, zabierał z sobą potrzebne preparaty. — Był to człowiek już sędziwy, liczył bowiem do 60 lat z górą. Siwizna lekko przyprószyła mu głowę, a wbrew ówczesnemu zwyczajowi nie nosił peruki, ani harbejtla, ani krótkich spodni i trzewików, ale strzygł włosy krótko, buty zawdziewał z długimi cholewami, ubierał się w surdut dostatni, a czasem we frak piaskowego koloru, z dużemi metalowemi guzikami. Do niego wtedy używał długiej atlasowej brązowej kamizelki, suto haftowanej. Wzrostu średniego, wdzięcznego i czerstwego oblicza, zachował w całej postaci ruchy pełne życia i rzeźwość młodzieńczą. — Domek jego, jakkolwiek szczupły na pozór, wewnątrz był rozległy. Składał się z ośmiu

obszernych pokoi. Nadto przy wjeździe stały dwie oficyny, niemniej obszerne, które zajmowali ciągle chorzy przyjezdni. Teraz doktor Stakensmitt zajęty był ukończeniem nowego domu dla chorych swoich, który wystawił od ulicy, o piętrze z gankiem. Jakoż w ciągu dni kilku był gotowy zupełnie na przyjęcie spodziewanych gości.

Niedługo też zajechała poszóstna staroświecka karetą, za nią we trzy konie brocka kryta bryka a za niemi dwie fury ładowne sianem, słomą i owsem, oraz furgon pakowny z kucharzem i ze służbą. — Naprzeciwko nowego domu doktora Stakensmitta, po drugiej stronie ulicy z obszernym ogrodem stał dwór drewniany z wystającym staropolskim gankiem, na którym siedziało kilku młodych oficerów, paląc fajki i zajętych rozmową.

Dwór ten był kwatery generała Kościuszki i jego sztabu. Siedział właśnie w swej sypialnej komnacie nad rozłożoną mapą Polski, zatopiony w głębokiej zadumie, której nie przerwał mu nawet głośny śmiech oficerów na ganku. Zajęci pogawędką, niespodzianie usłyszawszy zawieszisty trzask bicia, spojrzeli na ulicę i ujrzeli poszóstną karete: na wysokim koźle starego furmana, a na przedniej parze koni pacholka zwinnego, jak zawracał na podwórce nowego domu doktora.

— A cóż to za arka Noego! — zawołał rotmistrz Zaręba, wskazując na karete, toczącą się z wolna. Pamięta przynajmniej czasy króla Sobka!

— Patrz! patrz Józefie! krzyknął porucznik fizylerów, a toć to cały tabor ciągnie się za nią!

Karol Kniaziewicz, który, wyszedłszy z korpusu kadetów jako bombadjer, świeżo awansowany na oficera do pułku fizylerów, był w sztabie generała Kościuszki, zaczął się śmiać wraz z innymi coraz więcej, gdy młody kadet Józef Raciborski, stanąwszy na ławie ganku, począł wyliczać osoby i sprzęty wychodzące z ogromnego pojazdu.

— Koledzy! uwaga! zawołał, piszcicie i rachujcie! Oto najprzód wyskoczyła z arki Noego panna służąca, zgrabna sarenka: teraz wychodzi poważniejsza dama, może marcowa panna, bo ma podwiązaną twarz szafranową chusteczką, a wszystkie stare panny, mają słabość do tego koloru. Ale się myślę, to nie marczak, jeszcze pełna życia i powabu. Teraz... cóż ja widzę? i umilkł.

Kniaziewicz zniecierpliwiony wyskoczył na ławkę i wykrzyknął: Aa! Aa! także umilkł.

Nadbiegły w tę chwilę adjutant Kwaśniewski, stanąwszy przy nim, rozkrzyżował ręce i zawołał: Aa! Aa! Jak Boga kocham! Aa! Aa! Rotmistrz Zaręba pokręcając sumiastego węża i patrząc na nich, jak się z zachwyceniem wpatrują w jakiś przedmiot, splunąwszy, gniewnie rzekł:

— A cóż tam do milion sześćkroć stotysięcy bataljonów i szwadronów djabłów widzicie, a nie nie gadacie. Stoją jak czaple w wyciągniętych szyjach, otworzyli gęby jak gawrony, a milczą jak zakłęci.

— Żebym sto tysięcy djabłów połknął i szklanekę wody się napił, jeżeli w życiu piękniejszą widziałem! woła Raciborski.

— To Wenus prawdziwa! mówił Kniaziewicz wzdychając.

— To Pokusa! mówił Kwaśniewski, a kładąc rękę na ramieniu Kniaziewicza! pluń na marę! bo to czarownica!

Niecierpliwy rotmistrz Zaręba, ściągnął z ławki Raciborskiego, a ujrzawszy uroczą postać młodej dziewczycy, co stała przy drzwiczkach karety, zawołał:

— Aa! Aa! do regimentu djabłów, prawda, że śliczna pokusa!

Raciborski, wskoczywszy na drugą ławkę, mówi:

— Koledzy! bacność! uwaga! Śliczna Wenus stoi — teraz mama dobrodziejka wydobywa się

z tej arki: — teraz dziewczynka z pudłem. Teraz wszyscy poszli do domu, a zajeżdża bryka brocka. Patrzcie! Jaki zawieszisty szlachciec wysiada, pewnie papuś dobrodziej, bo go stary hajduk wysadza. No! skończyło się widowisko! na siano, obrok i słomę i kucharza w szlafmicy niema co patrzeć.

— Teraz, koledzy, rzekł rotmistrz Zareba, musimy się dowiedzieć co to za zaczą ta familja; nam nie wypada, ale mam zręcznego trębacza, to on dokładny zda nam raport. Hej! Janusz! krzyknął na idącego ze stajni żołnierza: Sam tu coprędziej.

Trębacz, Janusz Gil, stanął wyprostowany, a salutując rotmistrza, pytał o rozkazy. Zareba dał mu dokładne objaśnienia, czego żąda, a Gil wyruszył zaraz na zwiady. — Tymczasem generał Kościuszkowski wyszedłszy ze swego zadumania, ożywiony wesołym śmiechem swoich oficerów, zbliżył się do okna, ale nie więcej nie ujrzał, jak tylko zajeżdżające fury i furgon na podwórzu doktora. Oficerowie zasiedli znowu w ganku, oczekując na trębacza. Niedługo wraca i donosi że przyjechał pan prezes Żurowski z żoną, córką i siostrą swoją, panną: że dziś jeszcze przybędzie krewniaczka panny prezesówny młoda i śliczna pana.

— A jak na imię pannie prezesównie? pyta Kniaziewicz.

— O tom się nie pytał, odrzekł trębacz, bo kuchnię zawołali, żeby coprędziej obiad gotował.

Wtem Raciborski, który ciągle patrzył na dom doktora, krzyknął:

— Koledzy! rajskie wrota się otworzyły i wyrzwał kupido!

Jakoż roztwarzyły się drzwi na ganku pierwszego piętra i stanęło na nim siedemnastoletnie dziewczę, podziw naszych oficerów. Ale zaledwie jednym spojrzeniem dojrzała ich stojących i wpatrujących się w nią tak ciekawie, upiekłszy raka, coprędziej cofnęła się do pokoju.

II.

W parę tygodni później, w mieszkaniu zajętem przez rodzinę prezesa Żurowskiego, w bocznym pokoju, którego okno wychodziło wprost na kwatery generała Kościuszki, siedziały dwie młode dziewczynki. Pierwsza, zbliżona więcej do okna, często spoglądała na ganek dworu. Średniego wzrostu bruneta zwracała uwagę szczególnie białą płącią alabastrową: na obliczu wybijały się świeże runieńce. Nos kształtny, usta drobne, koralowe, a pod jaskółczymi brwiami oczy czarne, pełne życia i tego blasku, który czar i urok rzuca przy każdym spojrzeniu. W chwilach, gdy jej serce uderzało mocniej, spojrzenie dziewczicy nabierało nieopisanego wyrazistości: znający ją bliżej od razu wyczytywali jej myśli, jej uczucie. Gdy smutek ją opanował, żałość ucisnęła, mgła dziwna na te oczy padała: łzawiły się jak kwiat poranną rosą, a całe oblicze, nie tracąc swej czarownej krasoty, malowało ból serca. W ruchach jakkolwiek spokojnych i poważnych wdzięk całej postaci pięknie odbijał. Warkocz kruczego blasku, gęsty i długi, zdobił jej głowę: drobne nóżki lekko stąpały, mała rączka jakby utoczona. Głos wdzięczny miał w sobie szczególny powab: zdaleka nasłuchując, zdawało się, jakby śpiew jaki oddalony dolatywał, bo w mowie przeciągała wyrazy zwyczajem Podolanek i Pokucianek. — Siedziała z robótką w ręku, ale była więcej roztargniona, a wzrok niespokojny rzucała często na ulicę.

Naprzeciw niej siedziała jej krewniaczka, starsza o parę lat Tekla Orlewska i zupełną z nią stanowiła różnicę. Wyższa wzrostem, jasna blondynka, oczu niebieskich, białego a rumianego licia; uderzała na pierwsze spojrzenie wdziękiem swej urody. Wesoła, uśmiechnięta, jakby chciała mówić o szczęściu życia, jakie w całej pełności poczuwała. Zdawała się starszą nad swój wiek, lubo zaczy-

nała dopiero rok dziewiętnasty życia. Patrząc na swój przyjaciółkę, zasepiła się chwilowo i rzekła do niej:

— Tociu! co ci jest? widzę niepokój w twych oczach, które mówią mi wyraźnie, że twoje serce chore; jakieś nowe myśli zamąciły twoją główkę.

Tekla Żurowska na te słowa podniosła oczy, a spojrzawszy na towarzyszkę, z cicha łkając, rzuciła się w jej objęcia.

— Wypowiadaj mi się, Tociu, a to ulży twe-mu sercu. Siadaj kochanie, otrzyj z łez swoje oczęta, i mów; ale mów cicho, bo ciocia Brygida, jak każda starsza panna nadzwyczaj ciekawa i lubi podśluchiwać. — Kiedy jednakże Tocia, opuściwszy smutnie głowę, słowa wyrzec nie mogła, przyjaciółka zaczęła z cicha mówić coraz weselszym tonem, patrząc, jak się jej oblicze wyjaśnia, i radość zaczyna wybijać.

— Panna prezesówna z wolnem serduszkim przyjechała do Międzyboża, ale już zamysłała się często w domu i drodze; prawda, wiek to już po temu dojrzała, bo zaczynamy siedemnasty rok życia. Ja ci, moja Tociu, mogę śmiało matkować, bom o całe prawie dwa lata starsza. We dworze Ihnatowskim i ojciec i matka, sąsiedzi i przyjaciele, wszyscy unosili się nad generałem Kościuszką, opowiadali jego czyny bohaterskie w Ameryce, gorącą przyjaźń z Waszyngtonem: i trzeba takie zdarzenia, że panna prezesówna zamieszkała naprzeciw kwatery generała, że już go kilka razy z bliska widziała, że nawet w ogródku doktora rozmawiała, a greczny generał serdecznie rączki ucałował Toci. Odtąd panna prezesówna zamysła się często, wzdycha jak ptaszek w klatce, siadywa w okienku niby z robotą, ale rączki jej spoczywają nieczynne, a spojrzenie idzie tam, jak ciotka Brygida powiada: „gdzie serce, tam oczy,” bo panna prezesówna panu generałowi bardzo sprzyja.

Na te słowa Tocia głęboko, ale swobodnie odetchnęła, jakby kamień spadł jej z piersi. Krasna niezwykłym rumieńcem, małą rączką zakryła usta przyjaciółce z radosnym uśmiechem. Orlewska śmiejąc się także wesoło, spojrzawszy w okno, szepnęła jej do ucha:

— Spójrzyj na ganek — już siedzi pan Tadeusz.

Jenerał rzeczywiście zajął teraz ulubione sobie miejsce na ławeczce, z której mógł widzieć dogodnie okno panny Żurowskiej. Tocia rzuciła ukradkiem spojrzenie, ale spuściła zaraz głowę, jakby nic nie widziała, gdy w tej chwili drzwi się roztwarły i weszła wystrojona panna Brygida Żurowska, siostra prezesa, nie podwiązana szafranową chusteczką. Włosy gładko uczesane zdobiła wianka niezapominajek z różą.

Orlewska dała znak tajemny przyjaciółce, a sama nieznacznie zapuściła firankę okna. Tocia poskoczyła wesoło, a całując ciotkę w rękę:

— Jakże się spało cioteczce? spytała.

— Dobrze! wybornie! odrzekła panna Tekla.

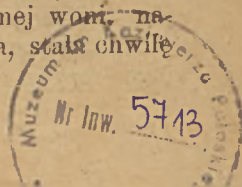
— A z kąd to wiesz moja Tekluniu? mówi zdziwiona panna Brygida.

— Widzę to po twojem żywem spojrzeniu, cioteczko, po świeżym rumieńcu na twarzy, po tych ruchach postaci, pełnych życia i wdzięku.

Panna Brygida, ucieszona tem pochlebstwem rozumnej a przebiegłej panny Tekli, ucałowała obie-dwie z nadzwyczajną czułością i zaczęła sen swój opowiadać, z którego na przemiany wróżyła pomyslną i niepomyslną dolę dla siebie.

— Ale cóż tak, moje panny, z zasłoniem siedzicie oknem, takie świeże powietrze, aż miło oddychać. Pozwólcie, niech okno otworzę.

Świeży powiew, pełen balsamicznej woni, napełnił zaraz pokój cały; panna Brygida, stała chwile w otwartem oknie, a potem rzekła:



— Panny! patrzcie z daleka, nasz generał widać jedzie na mustrę, bo dosiada ślicznego konia. O! O! zbiera się widać cały sztab jego, bo już panowie rotmistrze Potocki i Żareba pędzą: pan porucznik Kniaziewicz siedzi na koniu, pan Kwaśniewski biegnie do stajni, a ten wartogłów Raciborski, harując przed dworem, kłania mi się i białą chustką powiewa na pozdrowienie. Moje panny, usuńcie się dalej, jeszcze trochę dalej. Nie wypada stać nam w oknie.

— Ciocia niech przecie dygnie ładnie pięknemu kadetowi.

— Że chłopiec piękny, to prawda, bo to jak krew z mlekiem a żywy jak iskra: ale młokos, młokos, powiem dzieciuch.

Tymczasem nadjechali galopem Potocki z Żarebą i pokłonili się stojącej w oknie pannie Brygidzie, która dygnęła nisko. Zaledwie stanęli na podwórze kwatery generała, po krótkiej rozmowie Kościuszko zsiadł z konia i wszedł do dworu, a sztab cały wolnym stępem wyruszył za miasto. Wszyscy kłaniali się grzecznie uradowanej ciotce, która każdemu oddzielny poświęciła ukłon. Panna Tekla, przez głowę jej wszystko widziała, i śmiała się serdecznie z Tocią; po chwili ciocia odeszła, pod pozorem zajęcia gospodarskiego, a obiedwie przyjaciółki usiadły przy otwartym oknie swobodnie i radosne. Przed gankiem kwatery generała, luzak przeprowadzał osiodłanego karego arabczyka. Dzielny rumak grzebał ziemię kopytem, podnosił małą a zgrabną głowę, parskał ochoczo i co chwila zrywał się do podskoków. Niedługo wyszedł na ganek Kościuszko, dosiadł karego, który teraz stał spokojnie, ale zaledwie poczuł jeźdźca na sobie, zaczął jak w tańcu wyprawiać korbety. — Generał, już wsiadając, dostrzegł obie dziewice: zwolna podjechawszy pod okno, spojrzął na piętro i spotkały się jego oczy z oczyma wymownemi prezesówniej. Zdjął

rogatywkę, przycisnął do serca i skłonił głowę poszanowaniem. W całym tem poruszeniu malowało się poważnie głębokie uczucie.

— Patrz, Tociu! jak nam się ślicznie pokłonił: tak pozdrawiali panie swych myśli i serca dawni na turniejach rycerze!

Tocia może nie słyszała tych słów przyjaciółki, wypowiedzianych z zapałem, bo oczy, myśl i serce posłała za jeźdźcem, który kilka jeszcze razy zwrócił głowę ku stronie otwartego okna i kłaniał się amarantową konfederatką!

III.

Prezes Maciej Żurowski liczył właśnie pięćdziesiąt lat z górą. Urodzony za Sasów, wychowany w szkołach Jezuitów, całą charakterystykę dawnego szlachcica polskiego w sobie zespolił. Klejnot szlachecki ze złotą wolnością i *liberum veto* cenił najwyżej. Kiedy jednakże na zniesienie *liberum veto* daremnie się zrywał, nigdy nie mógł zapomnieć tego tak drogiego przywileju każdego *bene natus et possessionatus*, że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie.

Szorstkóść jezuickiego chowu okrzesał i wygładził na dworze króla Stanisława Augusta. Przy koronacji jego jako oficer przybocznej straży jechał w orszaku nowego króla. Wśród zrudziomoczonego dworu, na którym wyszydzano w każdej chwili i przy każdej sposobności, jak ubiór, tak zwyczaj a obyczaj narodowy, zowiąc go grubym sarmatyzmem, w tej to chwili, zapomniał i o złotej wolności i o *liberum veto*, godząc się z nowym porządkiem rzeczy i wyobrażeń. Opuściwszy dwór królewski, był deputatem na trybunał lubelski, następnie marszałkował na sejmiku, pełnił później obowiązki komisarza cywilno-wojskowego, w ostatku sprawował urząd prezesa na Podolu. Niepo-

szlakowanej prawości, z cnót obywatelskich szanowany, znany był z pobożności i miłosiernych uczynków. Prędzej żonie, córce, krewnemu odmówił spełnienia prośby, niż obcemu, bo trzymał się tej zasady, iż swoim udzielając, dla siebie tylko niejako robił: odejmując zaś sobie, lub swoim, wypełnia dopiero obowiązek względem Boga i bliźniego. Obdarzony bystrą pamięcią, zasięgając wspomnieniem lat dawnych, na co sam patrzył, lub żywym słowem tradycji pochwycił, umiał opowiadać zajmujące wypadki, których żaden historyk, żaden djarżusz ani *Silva Rerum* nie przechowało, z czasów Jana Sobieskiego, którego podług zwyczaju w Rzeczypospolitej zwano królem Sobkiem, z napadu Szwedów pod Karolem XII, ze zdarzeń za królów Augusta II i III i z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Ożeniony z Wisłocką, szczególnie miłował i szanował swoją panienkę, jak zawsze nazywał małżonkę, która, będąc wątłego zdrowia, potrzebowała czulej opieki i pełnego delikatności obejścia. Prezes przy wszystkich przymiotach był gwałtownego charakteru i skory do wybuchu, ale jedno słowo jego panienki, jedno spojrzenie było dostatecznym do pohamowania się w uniesieniu. Jeżeli się zdarzyło, że zapłakała ze wzruszenia, lub z powodu zbytniego uniesienia małżonka, zadraśnięta ostrem jego słowem, pan Maciej na kolanach przeproszał swoją panienkę, dopóki na jej wdzięczne oblicze nie wywołał uśmiechu!

— Oj! mój Macieju! Macieju! za często grzeszysz, a potem przeproszasz! To były jedyne słowa wymówki przywiązanej żony.

Tegoż dnia siedzieli oboje w sali, w poobiedniej porze, przy otwartych drzwiach na ganek, gdy weszła panna Brygida, strojniej jeszcze przybrana, jak rano, z bukietem róż u boku i zapowiedziała odwiedzić sztabu generała Kościuszki.

— Rad będę poznać panów oficerów; wszy-

stko znać dzielni ludzie a i jeźdźcy dobrzy. Widziałem ich wczoraj na mustrze a to każdy mój Moci siedzi jak przykuty: nawet ten kadecik Racioborski, do którego panna siostra słodkie, jak mi mówiono, robi oczka, wszak to mój Moci jeździec nad jeźdźcami!

— Któż to, panu bratu, taką piteczkę ulepił, zapytała z małym uniesieniem panna Brygida: wszak że to dziecko!

— Zapewnie mój Moci, moja panno siostrzo, ale *de gustibus non est disputandum*: tandem jeździec co się zowie, a jaki zwinny i zręczny! Wczoraj *per exemplum* w najtęższym galopie, rzuciwszy konfederatkę na ziemię, zatoczył swoim dzielnym siwkim i podniósł ją z ziemi. Ażem z radości ucałował pacholę: boć i człowiek w jego wieku umiał takie sztuczki. Raz, gdy w przytomności króla Jegomości w Łazienkach chustkę, rzuconą przez panią Grabowską na drogę, w pełnym galopie podniósł, to król Jegomość aż zbladł z przerażenia, bo myślał, jako mi sam mówił, że kark muszę skrócić.

— Moja Brygisiu, rzekła prezesowa, bądź tak dobrą i każ przygotować kawy a poślij do cukiernika.

— Wszystko będzie dobrze! już urządziłam i kawa i ciasta gotowe.

— Dajże mi buziaczka, kochana Brygisiu.

— A gdzież nasze dwie Teklusie? zapytał prezes.

— Siedzą w swoim pokoiku, zajęte dywanem dla tutejszej Fary: ale zaraz je uwiadomię o spodziewanych odwiedzinach. To wyrzekłszy, panna Brygida pobiegła wesoło do ubocznego pokoju, przywołując panny do sali. Sama usiadła przy oknie, ciągle spoglądając niespokojnie na kwatere generała. Nagle zerwała się i zawołała:

— Goście spodziewani już idą!

Jakoż niedługo szcęk pałaszy dal się słyszeć w przedpokoju: drzwi stary kredencarz Walenty roztworzył naścieżaj i wszedł na ozele rotmistrz Potocki, za nim Zaręba z Kniaziewiczem, a w końcu Kwaśniewski z Raciborskim. Prezes powstawszy, ze staropolską gościnnością witał uprzejmie przybyłych. Do każdego przemówił z serdecznem uczuciem. Potocki i towarzysze, ucałowawszy rączki prezesowej, panny Brygidy a w ostatku obu panien, zasiedli w okół stolika. Prezesówna niepokojnem okiem spoglądała to na ulicę, to na dwór naprzeciw stojący, to na drzwi sali, jakby oczekiwała kogo. Orlewska wyczytała, co się dzieje w jej sercu, szepnęła więc z cicha:

— Bądź cierpliwa, niedługo przyjdzie.

Potocki po zagajeniu rozmowy, zbliżył się do prezesa i rzekł z ukłonem:

— Państwo dobrodziejstwo zapewne dozwolą, że nasz generał złoży im swe uszanowanie.

— A mój Moci Dobrodzieju, zawołał Żurowski, będziemy to mieli sobie za największy zaszczyt; dla pana generała zawsze u nas jak serca tak i drzwi otwarte.

Tocia odwróciła głowę, przycisnęła ręką bijące gwałtownie serce, krasny rumieniec oblał jej oblicze. Na szczęście nikt prócz przyjaciółki nie zważał na to wzruszenie głębokie. Potocki szepnął parę słów na ucho Raciborskiemu, który nieznacznie wybiegł, aby dać znać Kościuszcze, że go oczekują.

Panna Brygida, zajęta całą rozmową z rotmistrzem Zarębą, nie więcej nie widziała i nie słyszała, ale Tocia z przyjaciółką dostrzegły, jak biegł żwawo Raciborski i jak wkrótce wraz z nim wyszedł Kościuszek ze swej kwatery.

— Nie ruszajmy się z miejsca — rzekła z cicha Orlewska, widząc zarumienienie swej towarzyszki — bo zwrócisz uwagę na siebie.

I rozpoczęła sama rozmowę z Kniaziewiczem. Tocia zadrżała, dosłyszawszy szcęk pałaszy w przedpokoju, ale na surowe spojrzenie przyjaciółki spuściła oczęta, obrywając listki z róży, do boku przypiętej.

— To nasz generał zapewne! — rzekł Potocki.

Na te słowa wszyscy powstali. Prezes postąpił do drzwi samych, a ujmując Kościuszkę za rękę, rzekł wzruszonym mocno głosem:

— Panie generale! odwiedziny jego w domu mym uważam zawsze za największy dla siebie zaszczyt i pociechę, że mogę uściskać dłoń bohatera, co walczyła tak dzielnie za niepodległość amerykańców, którego najwięksi mężowie kochali i szanowali, a ja, mój Moci Dobrodzieju, tylko z sercem otwartem i łzami radości powitać mogę.

Wyrzekłszy te słowa, pochylił głowę i otarł oczy.

Kościuszek, pomięszany, zaledwie mógł przemówić:

— Panie prezesie! nie zasłużyłem sobie na takie przyjęcie, ale umiem je ocenić i z serca dziękuję.

Powitawszy panią domu i panny, zatrzymał przeciągle spojrzenie na Toci, która, drżąc jak liść osiczyzny, schwyliła za rękę przyjaciółkę swoją i oczy w ziemię spuściła.

Gościnność prezesa ożywiła całe zebrane grono. Po obniesionej kawie gospodarz postawił kazał dwa gąsiorki opleśniałe węgryzna. Po jednym i drugim kieliszku rozochocili się wszyscy.

Pan Żurowski zaczął przypominać dawne czasy, ów sławny w Łazienkach królewskich karuzel przy odkryciu konnego posągu Jana Sobieskiego na moście, w którym miał udział i dobrze trzymał się na siodle. Stąd przeszedł do pochwały Raciborskiego, że z niego dzielny jeździec, co uważa za najpierszą zaletę młodego szlachcica.

Kniaziewicz mało się mieszał do siedzących przy stole, zajęty rozmową z panną Orlewską, jej wdziękiem i urodą. Tocia siedząc przy boku swojej przyjaciółki, rzucała tylko ukradkowe spojrzenia na generała, który niby zajęty opowiadaniem prezesa, zwrócone miał oczy na swą ukochaną. Gdy pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia — na oblicze dziewczicy wystąpił żywy rumieniec.

Prezes zatrzymał u siebie wszystkich na wieczery: w parę godzin ożywił jeszcze towarzystwo doktor Stakenszmitt, ochoczy do rozmowy i kielicha.

Już było blisko północy, a przez otwarte okna mieszkania prezesa brzmiał okrzyk radosny, tak znany, przy wznoszeniu ostatniego wiwatu, staropolskie: Kochajmy się!

Jasny miesiąc wypłynął na czyste niebo — żadna je chmurka nie zaciemniała. Szczęk pałasy krótko słyhać było przed kwaterą generała: wkrótce światła pogasły. Milezenie zaległo całe miasto, czasem szeczekanie psów z dalszych folwarków dołatywało, a przy otwartym oknie, siedziały obie przyjaciółki, trzymając się za ręce.

— Tekluniu moja złota! teraz zdaje mi się, że mnie kocha! — mówiła wzruszona Tocia.

— Oby Bóg dał ci szczęście i mnie przy tobie, odrzekła Orlewska, bo miała na myśli i sercu gorące spojrzenia Kniaziewicza.

IV.

Od tej chwili stał się Kościuszko codziennym gościem w domu prezesostwa. Oboje coraz uprzejmiej przyjmowali generała. Matka, uwiadomiona przez przyjaciółkę Toci o jej uczuciach i przywiązaniu, nie miała przeciw związkowi zamierzonemu: nawet panna Brygida, przypuszczona do tajemnicy, pochwałała tę myśl prezesowej.

Bo szczególnie zmienila się teraz: ze szczenioliwej i lubiącej ploteczki stała się od razu poważną, uprzejmą, i często zadumaną. Liczyła właśnie trzydziesty rok życia i ślady dawnej zachowania piękności. Płeć białą zatrzymała, oblicze kraśniało żywym rumieńcem, oczy czarne nabrały nowego blasku — słowem panna Brygida, skoro porzuciła narowy, przywiązane do starej panny, w oczach wszystkich zmienila się do niepoznania.

Tocia z przyjaciółką swoją, już się jej nie wystrzeżały, ale wszystkie swoje powierzyły tajemnicy. Zwierzenie to przyjęła z uczuciem wdzięczności, sama jednakże poważnie milczała, jakkolwiek Orlewska już dostrzegła jej miłość do rotmistrza Zaręby: żadnem przecież słówkiem nie dała jej tego poznać.

Dziewczęta częściej widywały Brygidę, modlącą się gorąco przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym gorzała ciągle lampka. Raz zesła ją niespodzianie panna Tekla. Klęczała przed obrazem, ale skończyła już modlitwę i tylko z załamanemi rękoma, w milezeniu poglądała rzeźnym wzrokiem w oblicze Boga Rodzicy.

Orlewska stała chwilę, wpatrując się w jej postać, ale dłużej nie mogąc wytrzymać, poskoczyła ku niej i zawołała dźwięcznym głosem:

Ciociu! jakaś ty ładna!

Panna Brygida odwróciła tylko głowę i załkała cicho.

Ciociu! Brygisiu! ja znam uczucie twego serca, i z duszy się cieszę. Na te słowa panna Brygida powstała i położyła palec na usta, a potem rzuciła się w objęcia Orlewskiej. — Teklusi! — mówiła załawiona — Bóg tylko dotąd o tem wiedział, co ty wiesz teraz.

Cioteczko kochana — odrzekła pieszczotliwym głosem, ulżyj sercu swemu, powierz mi swoje cierpienia, ja je z Tocią podzielę, a lżej ci będzie.

O! teraz i ja będę kochała poczciwego rotmistrza. Ale nie tak, przemówiła panna Brygida, jak pana Karola.

Na te słowa Orlewska zdumiała, rumioniec żywy oblał jej piękne oblicze, zakryła oczy rączkami i z pośpiechem uciekła.

Drżąca, wzruszona wbiegła do swego pokoju, który razem z Tocią zajmowały, a chwyciwszy ją za rękę: moja duszo — rzekła, oddychając jakby zmęczoną piersią — ciotka odkryła i moja tajemnicę.

To dobrze, z radosnym uśmiechem odpowiedziała Tocią. Teraz żadnej przed sobą nie będziemy miały skrytej myśli.

Dzień był precudny: doktor Stakenszmitt, zaprosił dom cały prezesostwa, jako też i jenerała z towarzyszami broni do siebie na kawę i śmietaną wiejską. Zastrzegł, żeby wcześniej się zebrali na podwieczorek, a obawy nie mieli, jeżeli będzie skwar słońca, bo jego ogród ze zwierzyńcem da chłód i ochronę przed gorącem.

Prezesowa z Brygidą, Tocią i Orlewska wyszły około czwartej godziny po obiedzie: prezes podług zwyczaju drzemał i później przyrzekł nadejść.

W ogrodzie doktora już znaleziono Kościuszkę z gronem znajomych oficerów.

Po przywitaniu, zawiązała się wesola roznowa. Doktor, jako gospodarz domu podał rękę prezesowej i powiódł do cienistej altany, przed domem swoim, a zwracając się do reszty towarzystwa, rzekł z uśmiechem:

— My, poważniejsi, będziemy sobie gawędzili o lepszych dla nas czasach, a wy młodzi używajcie spaceru.

Kościuszeko uśmiechnął się i rzekł, patrząc w oczy Toci:

— To już nie do mnie słowa doktora: „młodzi niech zostaną.” Czy mam odejść?

— O nie! nie! — zawołała żywo Tocią — jenerał przecie grzeczny i nie zostawi mnie samej.

Kościuszeko z rzewnem uczuciem pochwycił jej drobne rączki i ucałował. Raciborski szepnął Rotmistrzowi Potockiemu:

— Zostawmy młodzież, a my, poważniejsi, chodźmy do prezesowej.

Potocki spojrzął na kadeta i parsknął śmiechem, gdy ten poważnie wyrzekł:

— Rotmistrzu, patrz! trzy pary turkawek! Jacy szczęśliwi, to już nie dla nas.

Śmiejąc się wesoło razem, pospieszyli do altany, bawić rozmową matkę i doktora! — Kwaśniewski odjechał był od dni kilku do swojej chorałgi.

Zwierzyńiec Stakenszmitta był obszernym ogrodem, a główną jego ozdobą były olbrzymie dęby, lipy, płaczące brzozy i gdzieniegdzie wysmukłe sosny! Zabytki to dawnego boru, które szczenił pełen smaku i gustu doktor. Wpółśród tych drzew zasiał trawniki, wysypał żółtym piaskiem ścieżki i urządził ławki wygodne w miejscach najwięcej zacienionych.

— Mój ogród zimną i latem — mawiał — zawsze zielony i nigdy nie traci swych liści.

A mówił prawdę, bo sosny pod śniegiem jeszcze zieleniły.

Rotmistrz Zaręba przechadzał się z panną Brygidą, podawszy jej rękę. Za nimi szedł w oddali Kniaziewicz z Orlewską, których radosny śmiech jedynie przerywał głęboką ciszę zwierzyńca i łączył się z miłym odgłosem kukułki, mającej tu ulubione schronienie.

Kościuszeko, siedząc na ławeczce obok swej bogdanki, na kukanie tego ptaka przemówił:

— Słyszysz pani? to ptak wiosny, ale także smutku i żałoby. Słyszałem w moich dziecińczych

latach i pieśni, i powieści od mojej niańki, że kukulka wróży żałobę.

— Jakież to myśli, panie Tadeuszu, w tej chwili, gdy tak jestem szczęśliwą i pełną radości! O! Bóg dobry od tego nas uchroni, ja wierzę w świętą Jego opiekę i gorąco się modłę.

— Módl się, módl pani i za mnie, bo nie wiem co nas w przyszłości spotkać jeszcze może.

— Nie mów tak, drogi panie, bo mi serce się ścisza i lzy biegną do oczu.

Kościuszek ucałował jej ręce, a Toca patrzyła w jego oblicze zalzawionemi oczyma.

Zareba skończył już czwarty krzyżyk, ale nie wyglądał na swe lata, zahartowany życiem obozowem. W młodych latach służył w przesławnej konfederacji Barskiej pod Kazimierzem Pułaskim, który go nie tylko lubił, ale kochał nawet. Był z nim w Częstochowie, broniąc tej twierdzy, i wyprowadzał go za mury, gdy raz ostatni ten bohater żegnał ojezystą ziemię i śpieszył do Ameryki, aby tam znaleźć śmierć walecznego.

Sierota od lat młodych, zajęty służbą unikał niewieściego rańtuszka; raz tylko zadrżało jego serce, gdy ujrzał piękną i dorodną żonę swego pułkownika. Ale wychowany w zasadach honoru i z natury pobożny przytłumił wzrastającą miłość, uważając za grzech myśl o zamężnej niewieście. W gwarze życia obozowego uspokoił się, przytłumił uczucie i od dwóch lat spokojnie i swobodnie oddychał, gdy w pannie Brigidzie znalazł wielkie podobieństwo do niezapomnianego oblicza i postaci pułkownikowej. W równych była prawie z nią latach też oczy czarne, dźwięk nawet głosu podobny.

Z początku za nadto mu się zdawała żywą, ale gdy spoważniała w chwilach swej zadumy, rotmistrz oczarowany spoglądał i widział żywy wizerunek swej wynarzonej, za którą tyle lat tęsknił i bolał.

Nieśmiały, jak wszyscy dobrzy wojacy, do kobiet wyższego ukształcenia, bojaźliwie wyjąkał swe myśli i uczucia. Jakby niebo otwarte ujrzał, gdy się dowiedział, że pozyskał jej wzajemność i odebrał przyrzeczenie, że będzie mu wierną i stałą do grobu.

Kniaziewicz wiódł wesolą i głośną rozmowę z panną Teklą: śmiali się radośnie, ale w przerwach rozinawiali wymownie oczyma, bo dobrze powiedział stary Łukasz Górnicki w swoim „Dworzaninie”, że „oczy są to wierni posłańcy od serca.”

Jedno drugiemu nie powiedziało słowa o miłości, a byli pewni wzajemnego uczucia.

Po podwieczorku zmrok zapadł, a prezes nie nadszedł: przysłał jednakże wkrótce starego kredencarza Walentego, przeprasząc, że z powodu przybycia niespodziewanego gościa z Warszawy sam przybyć nie może, ale prosi, ażeby się wszyscy wesoło bawili.

Na tę wiadomość posmutniało poważne oblicze matki, ale reszta towarzystwa wraz z gospodarzem nie stracili humoru. Potocki podał do przechadzki w zwierzyńcu rękę prezesowej, której doktor i Raciborski towarzyszyli nieodstępnie. Za nimi szły trzy pary nasze.

Księżyc wypłynął na jasny lazur niebios; przy nim jedna tylko gwiazdka błyszczała. Ze zmrokiem wieczornym zawiodły swój śpiew słowiki.

Pod wielkim dębem zasiadło całe zebrane grono. —

— To moje ulubione miejsce! — mówił doktor — tu, co wieczór, gdy jestem sam, a o tej porze zwykle samotny, siaduję i rozmyślam o swej przeszłości. Mój Boże! czyż mogłem myśleć, że gdy przyjdę do dostatniego mienia, Bóg mnie tak srodze osieroci! Tu mi zmarła żona, którą kochałem serdecznie, jedyny przyjaciel na tej ziemi: tu

na rękach moich skołała siedemnastoletnia moja droga Ludwika!

Na to inię wstrząsnął się Kościuszko.

— Co ci to, panie? — szepnęła zcioha Tucia.

— To nic! to nic! — odrzekł, ale smutno głowę opuścił na piersi.

— Tu pod tym dębem — mówił dalej doktor wzruszonym głosem — siadywaliśmy razem i jak teraz słuchaliśmy śpiewu ptasząt. Kiedym je pogrzebał i ukoił się nieco w cierpieniu, przyszedłem znowu pod ten dąb i usiadłem. Ale gdym usłyszał moje słowiki, co śpiewały mi za życia, samotnik teraz płakałem jak dziecko i nie dziwicie się łzom moim!

Poważny starzec zakął rzewliwie; prezesowa ze smutkiem w oczach ściskając go za rękę, rzekła drżącym głosem:

— My umiemy czuć i podzielać twą boleść, szanowny konsyljarzu!

Kościuszko powstał, ujął jego ręce i przemówił wzruszony:

— Mój doktorze! na twą boleść Bóg tylko i czas mają lekarstwo. My pojmujemy takie straty.

— Dziś, mówił spokojniej Stakenszmitt, jest rocznica śmierci mej żony i mojej jedynaczki: chciałem się waszą obecnością rozweselić, a zamiast tego, zasmucilem was wszystkich. Darujcie biednemu pustelnikowi.

Całe grono otoczyło go ze współzuciem, dziękując za przyjęcie gościnne i pożegnało. Przed mieszkaniem prezesostwa pożegnano damy i w milczeniu rozeszli się oficerowie na swoje kwatery. —

Do północks w oknie dworu Kościuszki widać było światło. Znać niepokój sen spędzał mu z powiek. Siwy Jędrzej, stary wiarus na służbie będący, zajrzał przez szybę, i dojrzał jak siedział generał przy stole, pogrążony w głębokiej zadumie.

Przeżegnał go krzyżem świętym i sam odmówił: „Pod Twoją obronę.”

V.

Kiedy wesóło zebrane grono bawiło w ogrodzie doktora, a prezes po smaczej drzemce zamierzał wyjść, ażeby dzielić jego uciechy, zaturkotał pojazd i stanął przed domem. Niedługo stary Walenty zameldował, iż przybył staroście Kozięglowski, szambelan króla Jego Mości, który chce złożyć swe uszanownnie.

— Prosić! prosić! — odrzekł prezes i sam, powstawszy z sofy, zbliżył się do drzwi na środek pokoju.

Ukazał się w nich teraz gość niespodziewany: średniego wzrostu, wychudły, z twarzą zmarszczkami okrytą, uśmiechniętą ciągle. Na głowie miał perukę fryzowaną — modny surdut po kolana popielatej barwy z krótką pelerynką — kamizelkę atlasową jasno-zieloną, suto haftowaną złotem, spodnie za kolana tylko, przewiązane czarną wstążką — białe, jedwabne pończochy i krótkie ze sztylpami buty, do połowy łydek sięgające.

Zapach mocny piżma wypełnił pokój. Szambelan po grzecznym ukłonie stał chwilkę, wpatrując się w gospodarza domu, zażył ze złotej tabakierki tabaki, błysnął brylantowym pierścieniem u prawej ręki, poprawił koronkowych żabotów u gorsetu i przy mankietach.

Kiedy prezes patrzył zdziwionemi oczyma na swego gościa, ten, wdziecząc swoje oblicze, mówił powolnym głosem:

— Więc mnie już prezes, mój stary *amicus*, nie poznaje? przecieżeśmy razem byli na koronacji Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego. Żurowski na te słowa z uszanowaniem pochylił głowę, a szambelan dalej mówił:

— Tak! tak! panie Macieju, nie poznałeś swego Ignasia, którego za dobrych naszych czasów zwał się zawsze fireykiem. Prezes z radosnym usmiechem podał mu wtedy rękę, uściskał i posadził obok siebie.

— A mój panie Ignacy, nigdybym cię nie poznał! djabelnie się podstarzałeś, luboć—co prawda to nie grzech—już rok trzydziesty z góry minął, jakeśmy się nie widzieli.

— Co tam!—odrzekł wesoło szambelan—starzejem się na twarzy i w czuprynie, ale nie sercami; wszak prawda, panie Macieju? Jesteśmy zawsze starymi a dobrymi przyjaciółmi.

I rzucił się w objęcia gospodarza. — Prezes Walentemu kazał przynieść dobrego węgryzna: szambelan bowiem podziękował za podwieczorek, a po jednym i drugim kieliszku rzekł niby nie chcący:

— Cóż tutaj porabia Amerykanin?

— Jaki?—zapytał zdziwiony prezes.

— Czyż się nie domyślasz, panie Macieju, że mówię o waszym jenerale, co stoi kwaterą w Międzybożu?

— A! o Kościuszcze!

— Tak! o nim chcę mówić—ciągnął z uśmiechem ironicznym—któregom już przeklął na zlej grobli stąd o miłę.

— A to dla czego?—zapytał ciekawie prezes.

— Bo z jego powodu musiałem zboczyć z drogi i wstąpić do Międzyboża i do was, prezesie, spełniając wyraźnie rozkaz Jego Królewskiej Mości, szczerliwie nam panującego.

Zadziwienie coraz większe wzrastało w gospodarzu domu: dostrzegł to szambelan, a wychyliwszy czwarty węgryzna kieliszek, rzekł cichszym i wolniejszym jeszcze głosem:

— Zacznę ci więc *ab ovo*. Wiesz zapewne, że babka moja, co mieszkała pod Humaniem, umarła

we Lwowie, zapisując mnie cały swój majątek. Właśnie byłem na służbie u króla Jegomości, gdy odebrałem o tem wiadomość; prosiłem więc Najjaśniejszego Pana o urlop, który laskawie udzielić mi raczył.

— A którą drogą twoja droga, szambelanie?—zapytał mnie.—Ja wymienilem znaczniejsze etapy.

— Proszę cię, mój panie Ignacy—rzekł dobrotliwy monarcha, kładąc swoją piękną rękę na mojem ramieniu:—Zrób mi jedną grzeczną.—Ja skłoniłem głową z uszanowaniem, oświadczając, że będzie to dla mnie najmiłą rzeczą, gdy król Jegomość mówił dalej:

— W Międzybożu stoi kwaterą nasz Amerykanin—bo tak w zamku króla Jegomości zowiemy waszego jenerala—a przybył tam do Sztakensmitta mój dawny przyjaciel, Maciej Żurowski, deputat, a teraz prezes, wraz z żoną i córką, bardzo piękną panną. Wiesz, mój Ignacy—zniżając głos swój dodał Najjaśniejszy Pan—że nasz waleczny Amerykanin wielki bałamut. Jak mam wiadomość, łatwo zdobył serce młode panienki, ale wiedząc, że ojciec tak łatwo mu córki nie da, bo całym jego majątkiem, jest ranga jeneralska...

— Przecież ma swoją wieś od przodków dawnych, Siechnowicze!—przerwał dotknięty żywo prezes.

— Gdzie tam! obelguje! miał, ale dawno zmarł—notrawił! ale mi nie przerywaj, aż skończę, kochany Macieju—mówił szambelan, szósty kończąc kieliszek starego węgryzna, po którym i oczy mu zajaśniały i rumieniec na blade a zmarszczone wystąpił oblicze.—Otóż—mówił dalej król Jegomość—Amerykanin postanowił wykraść córkę prezesowi.

Na te słowa zerwał się z kanapy Żurowski. Widać w nim było wewnętrzną walkę. Nie dowierzał z początku słowom szambelana, ale, gdy rozważył, że król zna tak dokładnie stosunki domoew

jego i wie, co się dzieje w Międzybożu, tak szczęśliwie, zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju, nie mogąc dobrać słów do odpowiedzi.

Szambelan, popijając z kieliszka i omokując ustami, spoglądał z pod oka na gospodarza, który to targał wasy, to pocierał czupryny, to załamywał ręce i coś pomrukiwał z cicha. Nie mogąc się odpowiedzi doczekać, po długiej chwili przemówił:

— Nie nowina to! mówił dalej król Jegomość; wszakże wiesz, mój panie Ignacy, jak wykradł dawniej hetmanównę?

Zurowski upamiętał się w swoim niepokoju, usiadł przy stole, nalał sobie kieliszek jeden i drugi, a pijąc je pospiesznie, rzekł drżącym głosem:

— Słyszałem coś o tem, lecz opowiedz mi szczegółowo, panie Ignacy.

Szambelan zażył tabaki, a poprawiwszy zabotów, odrzekł:

— Opowiem ci, panie Macieju, wedle słów Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego, wiernie i akuratnie.—Wiesz, że Kościuszko z ubogiej na Litwie pochodzi rodziny: znał jego ojca pan hetman Sosnowski i za poważnym wpływem swoim, umieścił go w korpusie kadetów w Warszawie. Chłopak się dobrze uczył i zwrócił uwagę księcia generała Ziemi Podolskich, a następnie zyskał jego względy, przy czem miał sposobność zbliżyć się do osoby Jego Królewskiej Mości, szczęśliwie nam panującego.— Kiedy ukończywszy nauki, nie miał co robić, bo w wojsku Rzeczypospolitej przy błogim pokoju nie tak łatwy był awans, pan hetman wziął go na dwór, a młody kadet przez wdzięczność zaczął uczyć rysunków, historii i geografii dostojne jego córki. Ale przy tej sposobności nie zaniedbał korzystać ze zbliżenia i pozyskał serce młodej hetmanówny Ludwiki. Dobrze jednak wiedział hołysz, że tak łatwo ręki jej nie dostanie. Przybywa do Warszawy, staje przed szczęśliwie nam panującym

Panem i zwierza mu się ze swej miłości. Znasz i wiesz sam, jak dobrotliwy jest nasz król, szczęśliwie nam panujący. Wysłuchał cierpliwie młodego zapaleńca, perswadował mu po przyjacielsku nawet, pokazując wymownie niepodobieństwo takiego związku. Ale ten, uparty jak Litwin, miał zuchwałość powiedzieć Najjaśniejszemu, szczęśliwie nam panującemu, te słowa:

— Jeżeli Wasza Królewska Mość nie dopomoże, to ja pannę sam wykradnę!

Uklonił się i odjechał. Wtedy monarcha nasz co rychlej wysłał posłańca do hetmana, ostrzegając go o zamiarach pana kadeta. Za późno przybył, bo już uchodziła z uwodzicielem panna Ludwika, ale wysłani ludzie dognali kochanków. Amerykanin bronił się dzielnie, ciężty szabłą upadł: panna omdlała. Przyniesiono ją do szworu, a uwodziciela skrwawionego i związanego stawiono przed hetmanem, który rzekł do niego groźnym głosem:

— Młokosie! wiedz, że synogarlice nie dla wróbla, a córki magnackie nie dla szlachetków! Gdybym nie miał uwagi na pamięć twojego ojca, inaczejbym z tobą postąpił, a teraz tylko wypędzam cię na zawsze z mego domu, bo za wysokie są jego progi na twoje nogi.

Rozkazał go felerzerowi nadwornemu opatrzyć, rozwiązać i wywieść do najbliższego miasta z jego manatkami.

— Zuchwały był zapewne zamiar młodzieńca— przemówił zamyślony Zurowski— ale zuchwalsza mowa hetmana. Szlachetka! a skąd sam wyrosł? także był szlachetką! Wielki magnat, butny, a z jego śmiercią skończy się wielkie państwo i duma!

Szambelan zdziwiony słuchał mowy prezesa, utaił oburzenie swoje na tak gorszące demokratyczne zasady, popił z nowego gąsiorka węgryna i mówił dalej:

— Król Jegomość, szczęśliwie nam panujący, gdy opowiedział mi całą historję, dodał w końcu: Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem zawsze trąci; wstąpże do Międzyboża, pozdrów Deputata odemnie i ostrzeż w mojem imieniu. Ja spełniam, kochany panie Macieju, tylko rozkaz króla Jegomości, szczęśliwie nam panującego! I skłonił głowę pokornie, wymawiając z uszanowaniem a dobitnie ostatnie słowa.

Prezes westchnął głęboko, jakby kamień naciskał mu piersi i milczał. Szambelan, zażywając tabakę, poprawiając zaboty i mankiety, spoglądał z pod oka, jaki skutek jego mowa wywrze na nim. Gdy go ujrzał złamanego i ośpiatego, rozgrzany winem, rzekł nagle:

— Muszę cię pożegnać, kochany panie Macieju, bo czas nagli i mam obliczoną każdą sekundę. — I spojrzął na zegarek, brylantami wysadzany, dobyte z głębokiej kieszeni atłasowej kamizelki.

— To — mówił — jest drogocenny dar Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego. Za wierną służbę, za pracę, od której przysła wczesniejsza siwizna, raczył mnie obdarzyć tym pysznym podarkiem, a później zaszczycił i orderem świętego Stanisława. Wyborna to sztuka, ale i mój podróżny pektoralik, jako zegarek, doskonale dotrzymuje pola brylantowemu magnatowi.

I znowu wydobył z kieszeni przedniej na piersiach złoty zegarek z długimi dewizkami, pokazując, że oba na sekundę nie chybują. Nalawszy sobie nowy kieliszek, zawołał wesolym tonem:

— No, mój stary przyjacielu, żyj szczęśliwy i tyle lat zdrowo, ile ma lat ten wyborny węgrzyn!

Po czem, uściskawszy gospodarza serdecznie, zabierał się do wyjścia, gdy nagle, stanąwszy na środku pokoju, rzekł do prezesa:

— Ot! mój panie Macieju, byłbym zapomniał przy natłoku poleceń Jego Królewskiej Mości, szczę-

śliwie nam panującego! Jadę do Lwowa, a mój plenipotent nie stawil się na słowie i nie przysłał mi pieniędzy. Nie mógłbyś mi, prezesie, na tydzień wygodzić ze trzysta czerwonych złotych? —

— Tyle nie mam, ale dwustu mogę ci służyć, mój panie Ignacy! — odpowiedział Żurowski.

— No! zajadę tem do Lwowa i załatwię interesy, a potem do Humania lecę. Pozwól pióra i papieru...

— A mnie na co skrypt twój? — przerwał prezes. — Między ludźmi uczciwymi dosyć słowa obywatelskiego. Czekam zwrotu za dni dziesięć. —

Szambelan cofnął się o kilka kroków, zdziwiony temi słowy, ale miarkując się, pokłonił głową, a skrywając szyderczy uśmiech, rzekł:

— Po tym szlachetnym czynie poznaję prawdziwego szlachcica polskiego.

Prezes otworzył kantorek i wyliczył na stole dwieście dukatów nowych z pod stempla. Zaiskrzyły się oczy szambelanowi na widok złota; zgarnął je co rychlej do sakwy jedwabnej.

— Król Jegomość... (już nie dodał: „szczęśliwie nam panujący”) będzie wiedział o tym wspaniałym czynie twoim, panie Macieju.

Uściskał go serdecznie i z pośpiechem wybiegł do przedpokoju: bitego talara Walentemu wsunął w rękę, wskoczył do pojazdu i kazał gnać co siły, by prędzej opuścić Międzybóż. —

Po jego odjeździe Żurowski długo chodził ze spuszczoną głową po pokoju. Nie mógł zebrać myśli do ładu. Jakiś ciężar cisnął mu piersi: otworzył więc okno, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem. Księżyc na jasnym świecił lazurze; w pobliskim zwierzyńcu doktora zawodziły słowiki. Ten śpiew, noc pogodna, jasna i cisza w około uspakajały wzburzenie jego. Zaczął swobodniej oddychać całą piersią.

— Czy on mówił prawdę? — myślał sobie. — Jakżeby śmiał kłamać słowa królewskie? Lecz skąd król wie o wszystkim, gdy dopiero kilka tygodni bawimy w Międzybóżu? skąd taka nienawiść do jenerała, gdy własnoręcznie pisał do niego w tak pochlebnych i ujmujących wyrazach, ciesząc się, że bohater, na drugiej półkuli świata znany, ozdobi wojska Rzeczypospolitej? — Ale król mylić się nie może, zna go lepiej — bądźmy więc ostrożni. Czyż prawda, że go Tocia kocha? Choćby nawet tak było, to nie dla niej partja.

Siedział długo w tych myślach, gdy dosłyszał kwilenie pułacza. Dreszcz go przejął — pokręcił wąsy, i pomruknał: „zły to prognostyk”. Spojrzał po chwili oknem i wśród jasnej nocy ujrział całe grono wracających ze zwierzynca doktora. Jenerał prowadził pod rękę Tocię. Prezes odstał od okna, padł na kanapę, zakrył oczy rękoma, westchnął boleśnie z głębi piersi i zawołał głośno:

Nie! nie! nie! —

VI.

Prezes z zachmurzonym czołem powitał żonę, podał rękę milcząc Toci i Tekli do pocałowania na dobranoc, Brygidzie tylko głową skłonił. Panny, zdziwione jego smutkiem, odeszły z ciotką zasepio-
ne, strudzone jednak przechadzką, rozmarzone rozmową i doznaniem wzruszeniem prędko i smaczno zasnęły.

Ale w sypialnej komnacie cicha roznowa między rodzicami trwała długo: na głos prezesa ratunku! wbiegła panna Brygida, której sen z powiek uleciał. Matka po dwakroć omdlewała, miała bicie serca, a Żurowski, na kolanach przed nią klęcząc, całował jej ręce i utulał, w jakimś dziwnym będąc rozstroju nerwowym. Po spazmach i palpacji serca nastąpiło osłabienie mocne. Doktor Stakenszmitt

przywołany, przerażony był jej stanem: coś długo w kącie mówił z prezesem, groził mu surowo, a ten słuchał z dziwną pokorą.

Około drugiej w nocy uspokoiło się wszystko, Stakenszmitt nie położył się, ale chodził po swoim zwierzyncu. Wkrótce świtać zaczęło. — Kościuszko już był na nogach: jakiś niepokój sen mu odebrał, wiedziony szczególnem przecuciem, chciał przejść się po zwierzyncu, tyle drogiu sobie, gdy na samem wnijszciu spotkał doktora. Od niego dowiedział się o zaszłej scenie u prezesów, o chorobie zanej matrony. Osmutniał nagle, uściśnął go za rękę, i wolnym krokiem wrócił do swej kwatery.

Słońce już wybiło wysoko, gdy się razem prawie obie przyjaciółki obudziły i co rychłej ubrały. Niedługo z cicha się drzwi otwarły i ukazała się panna Brygida z zapłakanemi oczyma i przybladłem licem.

— Co to cioci? — rzekła przerażona Tocia, patrząc na nią wystraszonemi oczyma.

— Nic! nic! moje panny! tylko cicho! — i to mówiąc, na palcach podszła i drzwi od sali na klucz zamknęła. Usiadła na kufierku zmęczona i z cicha długo płakała. Gdy się ukoila nieco:

— Straszna to noc była, — mówiła; — matka, moja droga bratowa, omało życiem nie przepłaciła. Tocia zerwała się wybladła i biedz chciała, ale wstrzymała ją ciotka.

— Teraz śpi i potrzebuje spoczynku; czuwa tam przy niej pan brat troskliwie.

— Cóż to było? — pyta Orlewska.

— Kiedyśmy używali milej przechadzki w zwierzyncu doktora, zjawił się gość, a raczej djabeł rogaty, niby szambelan króla, a dawny przyjaciel pana brata, który niestworzone rzeczy mu nagadał na naszego jenerała. Napoiwszy jego serce jadem, wyjechał, nimeśmy wrócili. — Ojciec twój, Tociu, pałając jakąś dziwną nienawiścią na pana Tadeu-

sza, byłby dziś jeszcze z nami opuścił Międzybóż, gdyby nie choroba pani bratowej.

Ale po rozmowie z doktorem, który mu dał surowe napomnienie, znikł nieco i przestraszony o zdrowie matki, milczy; widziałam nawet, że płakał w kąciaku.

— Ależ co ten gość gadał na jenerała? mów ciotka.

— Wszystkiego jeszcze nie wiem dokładnie, ale niedługo dowiemy się od doktora.

W tej chwili Walenty poprosił panny Brygidy, mówiąc, że gość czeka: jakoż w przedpokoju ujrzała Kniaziewicza, który przyniósł liścik od jenerała do Toci, objaśnił ją o całej rozmowie i nikczemnej potwarzy szambelana na Kościuszkę.

— Szczęście jego, że ztąd ten łotr uciekł,—mówił drżący jeszcze gniewem: gdybyśmy go złapali, miałyby gorącą łaźnię, od którejby go nie uratował ani order ani tytuł szambelana.

Ciotka doręczyła liścik siostrzenicy, a sama po cichu podsunęła się do sypialnej komnaty prezesowej.—Już nie spała, weszła więc, a całując ją, życzyła dnia dobrego.

Żurowski siedział przy oknie i modlił się z książki od nabożeństwa.

— Jakże dzisiaj pani bratowej—spytała panna Brygida.

— O lepiej mi znacznie po lekarstwie doktora, ale tak osłabioną jestem, że się ruszyć nie mogę. A gdzie Tocia i Teklusia? niech je zobaczę.

Obiedwie zaraz nadbiegły, a ich rozmowa i pieśczęty orzeźwiły chorą. Ojciec z niezwykłą czułością ucałował córkę i pozdrowił tak pannę Brygidę jak Teklę: a potem znowu się modlił. Cały dzień chora nie opuściła łoża: prezes kazał prosić obu rotmistrzów i Kniaziewicza na wieczór, żeby żonę rozerwać, gdy będzie słyszała ich rozmowę. Stawili się wszyscy z zasępieniem obliczem.

Prezes przyjął ich jaknajserdeczniej, kazał przygotować kolację, częstował starym węgrynym, ale ochoty dawnej rozbudzić nie mógł. Tocia więcej przy łożu matki przesiadła: panna Tekla i Brygida zabawiały swych gości. — Rotmistrz Potocki rozmawiał z prezesem o świeżych wypadkach w kraju, o ustawie rządowej 3 maja, którą czytał właśnie u jenerała w kwaterze, gdzie kilka jej egzemplarzy przysłano.

— Jak się ma pan Tadeusz?—szepnęła Orlewska do Kniaziewicza.

— Smutny, bardzo smutny, czeka na odpis i zobowiązał mnie, abym go przyniósł.

Panna Tekla podniosła się nieznacznie, weszła do sypialni prezesowej i dała znak Toci.

— Ja teraz zostanę przy mamie—mówiła—ty baw gości, bo się dopytują o ciebie.

Tocia przesunęła się przez salę, i drżącą ręką skreśliła na kartce kilka wyrazów. Oddała je pannie Tekli, która doręczyła je Kniaziewiczowi.—Wcześniej, niż zwykle, goście pożegnali gospodarza i damy. Prezes odprowadził ich do drzwi i zapraszał, aby pamiętali o jego domu.

— Bo nas tu niedługo w Międzybóżu,—mówił jakby na przestroge—czekam tylko na ozdrowienie mojej panienki, a potem do domu. W Inhatowicach zato czekać będziemy z utęsknieniem i lepiej przyjmujemy z chlebem i solą.

— A czy z dobrą wolą?—rzucił z uśmiechem rzewnym Kniaziewicz.

— Z dobrą wolą, ze szczerem i kochającym sercem,—odrzekł Żurowski, sciskając młodzieńca serdecznie.

Nazajutrz rano odwiedził chorą zacny doktor i rad był, że stan jej znacznie się poprawił. Usiadłszy przy łożu, wziął ją za rękę, badał uderzenie pulsu, poezem uśmiechnął się wesole i całując trzymaną dłoń prezesowej, wyrzekł.

— Pani moja kochana! Dziś troszkę z łóżecka powstaniemy w południe: posilimy się kropelkami, które zaraz zapiszę, rosółkiem z cielęciny i kureczką pieczoną: a we dwie godziny znowu do łóżecka na spoczynek; ja tu przyjdę na egzekucję.

Prezesowa uśmiechnęła się, patrząc na rozradowane oblicze męża, który gładził czuprynę i pokręcał wąsy, co zawsze było znamięm dobrego humoru. Około południa, kiedy usiadła w sali otoczona panną Teklą, Brygidą i córką, wszedł Kniaziewicz i doręczył jej list od jenerała. Drżącą ręką rozpieczętowałszy go, przeczytała następujące słowa:

„Nie mogę, Bóg widzi, nie mogę zamilczeć, bo co słyszę, czytam, piorun we mnie uderzył. Względem plotków można się zaspokoić: Rotmistrz Potocki, który jest tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że mam dziedzictwem wieś i sam trzymam ją. Niekażesz już mnie pisać, moja matuniu, znać, że już po wszystkim, znać, że się nakłoniła do perswazji, znać, że już i od niej oddalony na zawsze zostaje, znać, że prędko o swej przyjaźni zapomniła. Czynień z rozkazu zawsze matki mojej i jej, która zawsze w mem sercu będzie. Już nie będę pisywać, nie będę bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bobym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże was zawsze jednak opatrność najwyższa błogosławi, a więcej już i pisać nie mogę”.

Tadeusz ¹⁾.

Zacna matrona po odczytaniu tego listu zasępiła oblicze, a dwie łzy spadły na podpis jego imienia. Tocią, która zbladła uważała każdy ruch matki, widząc te łzy, porwała list i czytać zaczęła.

¹⁾ Tak ten list, jak wszystkie przytoczone poniżej, są wiernie przepisane z autografów Kościuszki.

W miejscu, gdzie znalazła wątpliwość o swem przywiązaniu, uśmiechnęła się rzewnie, pokiwała główką, a gdy skończyła, pobiegła do swego pokoju. Tu drżącą ręką skreśliwszy kilka wyrazów, zwinęła kartkę podała przyjaciółce, która i od siebie dodawszy przypisek, doręczyła ją Kniaziewiczowi. Widać, że potrafiła wszelkie usunąć podejrzenia w sercu Kościuszki, bo nad wieczorem, obiedwie czytały następujący bilecik, zaadresowany do dwóch Teklusi ¹⁾.

„Nie wiem do kogo mam napisać, czy do pierwszej Teklusi, czy do drugiej: ale to wiem, że pierwszą kocham, a drugiej największym jestem przyjacielem. Obiedwie mnie coś wyrzucają do czego nie czuję się. Do pierwszej sposobności nie miałem pisać i przez Kniaziewicza teraz odpisuję: druga oskarżać siebie powinna, że w zapomnienie puściła przyjaciela tak dobrego. Powiadają mi, że Orlewska dobrodziejka już się zapatrzyła na jednego i ten zranił jej serce do miłości. Tekluniu! gdy będziesz pisać, przyślij mi razem jeden koral z szyi twojej. Niech opatrność w płaszczy szczęścia zupełnego obwinie ciebie, a o mojej stateczności, szacunku, uszanowaniu, bądź zawsze przekonana”.

Tadeusz.

Po przeczytaniu tych słów obie przyjaciółki z uśmiechem radosnym spojrzwały sobie w oczy, ujęły się za ręce i tak stały, gdy panna Brygida weszła. Podały jej list jenerała: ciotka skończywszy go cały,

— Zacny kawaler! — wyrzekła — godny twojego, Tociu, serca: a tajemnica Tekluni nie ukryła się przed nim!

¹⁾ Tekla Żurowska i Tekla Orlewska.

Prezes widząc ciągle smutek żony, dał na wotywę do Fary, którą pobożnie wysłuchał z całą swoją rodziną. Był to dzień sobotni, dzień Matce Boskiej poświęcony: osłabiona matrona modliła się gorąco do tej orędowniczki smutnych, sierot i opuszczonych. Za powrotem z kościoła Żurowski prosił siostry, aby sutą przygotowała kolację, bo cały sztab jenerała będzie wieczorem.

— Panienska moja, dzięki Bogu! zdrowsza—mówił—potrzeba jej rozrywki! to ją orzeźwi; idę zaprosić także pocziwego doktora.

Panna Brygida pospieszyła do swej siostrzenicy uwiadomić ją o tem.

— W niezwykle dobrym humorze uważałam pana brata: nie wiem co to się święci: ale panny dopomóżcie mi, żeby wystąpić należycie i wzywam was do siebie na sejmik.

Kiedy we trzy radziły o przysmakach kolacji, a stary kucharz Franciszek w białej szlafmycy, z fartuchem i nożem za pasem, oczekiwiał na rozkazy, prezes już wracał od doktora, gdy usłyszał tętent koni i gwarną, wesołą rozmowę.

Jechał na czele Raciborski, wywijając na wszystkie strony zgrabnie swoim wierzchowcem. Za nim rotmistrze Potocki i Zaręba — w ostatku z opuszczoną głową na piersi, zadumany i milczący Kniaziewicz.—Na widok prezesa pospieszyli do niego, serdecznie witając. Żurowski uściśnął podane sobie dłonie, a Kniaziewicza prosił, że ma z nim na uboczu pomówić. Zeskoczył więc z konia, oddał go luzakowi i gdy obaj rotmistrze z Raciborskim po przyjęciu zaprosin na wieczergę odjechali galopem, prezes, trzymając pod rękę Kniaziewicza, zawrócił do zwierzyńca i długą rozmowę rozpoczął. Znać treść jej nie była smutna, bo młody wojak z rozjaśnionem obliczem skoczył na siodło i z kopyta się puścił. Ale osadził konia w miejscu pod oknem otwartem mieszkania

prezesostwa, bo w nim stała panna Tekla i wdzięcznym go powitała uśmiechem.

VII.

Duży stół przybrany kwiatami, zastawiony był ciastami i butelkami opleśniałemi węgryzna. — Żurowski, przybrany w kontusz granatowy, żupan perłowy, pas srebrzysty i buty pasowe, przypominał stare wizerunki polonusów. Panienska jego blada po chorobie, z uśmiechem wdzięcznym, spoglądała na dorodną postać swego Macieja, który, chodząc po obszernej sali, co chwila zbliżał się do jej fotelu i całował jej ręce.

Panna Brygida skromnie przybrana miała tylko we włosach małą wiązanekę niezapominajek. Tocia i jej przyjaciółka, aby się kochanej cioci przypodobać, temiż kwiatkami przystroili bujne swe warkocze. Chociaż wszyscy milczeli, radość malowała się na każdego obliczu, jakby anioł szczęścia i spokoju powionął białemi skrzydłami w tej komnacie, dawny smutek wygnał, a zwabił nieznanne wesele każdego serca.

Najwcześniejszym gościem pokazał się doktor, którego wszyscy powitali serdecznie. Stakenszmitt cieszył się widocznem polepszeniem zdrowia zacnej prezesowej, zbadał jej puls, popatrzył w oblicze i mówił z uśmiechem:

— Teraz wracamy do zdrowia powoli: już i rumieńczyk wybija pięknie, niedługo będziemy czerstwi jak dawniej—bo choroba to brzydka rzecz.

Kiedy kończył te słowa, szable w przedpokoju zabrzękły, Walenty drzwi roztworzył i na czele orszaku oficerów ukazał się Kościuszko.

Prezesowa wzruszona, nie mogąc wyrzec słowa, pochwyliła rękę męża, a całując skropiła ją łzami. Panna Brygida i Tekla mimowolnie zawołały:

— Al! pan Tadeusz!

Tocia, ujrawszy go, zbladła, wkrótce odżyła rumieniem; radość i szczęście zajaśniało w jej oczach i obliczu. Jenerał, którego serdecznie powitał Zurowski, pospieszał do osłabionej prezesowej, przyklął na kolano, a ująwszy jej ręce i całując, patrzył oczyma łez pełnemi w jej twarz, jak się rozjaśniała niezwykłym weselem. Kłęczącego ujęła głowę, a całując szepnęła:

— Mój synu, pociesz biedną Tocię.

Wszyscy głęboko byli poruszeni tym hołdem i cześcią, jaką złożył jenerał zacnej matronie. Doktor, porwawszy silnie za rękę prezesa i surowo nań patrząc, w milczeniu wskazał na kłęczącego jenerała. Stary kredencarz Walenty, co stał w końcu sali, rozbeczał się i uciekł do przedpokoju.

Kiedy wszyscy milczeli, pierwszy przerwał gospodarz i rzekł:

— Bóg dotknął mię chorobą mojej panienki, ale dzięki mi i staraniu a nauce szanownego doktora wraca do zdrowia. Chciałem, aby grono życzliwych przyjaciół podzieliło ze mną moje szczęście i radość. I jesteśmy wszyscy razem, aby uczcić ten dzień...

Ale wzruszony — dalej mówić nie mógł i odwrócił głowę, żeby łzy ukryć.

Kościuszkowski z rzewnem uczuciem zbliżył się do Toci i powitał ją po długim niewidzeniu. Usiedli oboje przy oknie na małej kanapie, a ciocia z rotmistrzem i panna Tekla z Kniaziewiczem tak miejsca zajęli, że ukryci oboje przed wszystkimi oczyma swobodnie rozmawiać mogli. Rotmistrz Potocki i doktor, jakby podmówieni bawili gospodarstwo; radość prezesa była nieopisaną, gdy usłyszał pierwszy głośny śmiech, serdeczny swojej panienki.

— Widzisz, panie Macieju! — szepnął mu doktor — co to może wesele serca! patrz na oblicze zony, a ożywione spojrzenie, rumieniec na twarzy,

jak ładnie wygląda! To najlepszy doktor i najpewniejsza apteka!

Panna Brygida dała znak do wieczerzy. Usiedli wszyscy do stołu: jenerał znalazł się obok Toci, Tekla przy Kniaziewiczem, Zareba przy panie Brygidzie. Doktor obok prezesowej, przy nim gospodarz, a naprzeciwko zajął miejsce rotmistrz Potocki razem z Raciborskim. Walenty obnosząc potrawy, gdy się zbliżył do jenerała, pocałował go w ramię, który ścisnął pocziwego starca za rękę. Kiedy prezes nalał kielich wiwatowy i miał wzniesić go w górę — nagle pod gankiem zabrzmiała kapela wojskowa. Była to niespodzianka, urządzona przez Kniaziewicza i Zarebę z Raciborskim. Zagrała znany i ulubiony marsz króla Sobieskiego z pod Żurawna.

Żurawski zadrzał na tę nutę, tak dobrze sobie znajomą postawił pełny kielich na stole, zapal niezwykły zajaśniał mu w oczach i wtórzac kapeli zaczął silnym a dźwięcznym głosem śpiewać dawną pieśń na chwałę króla Sobieskiego, przywiązaną do tej nuty. Zawtórowali mu Potocki, Zareba, Kniaziewicz i Raciborski: połączyły głos swój prezesowa, panna Brygida i Tekla. Chór ten brzmiał donośnie, a kapela słysząc go z nowym przygrywała zapalem. Tylko pan Tadeusz i Toci patrząc na siebie wymownym wzrokiem, milczeli.

Pieśń się skończyła — kapela ucichła. Prezes wybiegł uradowany na ganek i rzucił w sakwie jedwabnej tuzin dla niej dukatów. Walentemu kazał dać częstunek suty, a sam kłaniał się i dziękował serdecznie. Kapela tak hojnie nagrodzona i gościnnie podjęta, w końcu kolacji wesolego zagrała chmiela.

Prezes po wzniesieniu zdrowia króla Jegości, przesławnej Rzeczypospolitej, wojska, zdrowia jenerała i towarzyszków jego broni, rozochocony, gdy usłyszał ludową weselną pieśń o chmielu,

z kielichem ukląkł przed swą panienką, odśpiewał parę tej pieśni zwrotek, a potem całując jej ręce, mówił z serdeczną radością:

— Panienko moja! duszko złota! czy słyszysz, co grają? wszak ci to i na naszym weselu grano i śpiewano przy twych oczepinach chmiela. Dobrze to były czasy i panienka moja pewnie w żywej je zachowała pamięci...

Chciał więcej coś mówić, ale z wdzięcznym uśmiechem zacna matrona białą dłonią zakryła mu usta, szepnąwszy z cicha:

— Cicho, Maciusiu! chcesz za wiele mówić.

Do północy bawiono się wesoło: prezes ścisnął wszystkich i całował. Doktor dał znak rozejścia się, żeby chorej zbyt nie utrudzić.

Wszyscy przespali tę noc smaczno: Zaręba chwalać się, mówił, że spał jak susel: nawet jenerał obudził się dopiero o siódmej nad ranem.—Zanim wyjechał na przegląd przybyłej świeżo kawalerji do Międzybóża, pisał coś długo: a kiedy wpadł Kniaziewicz, prosił go, aby doręczył list chorążance — jak zwali Tocię — bo prezes nosił w sąsiedztwie swoim tytuł chorążego. Spełnił życzenie jego, a Tocią, z radością czytała następne wyrazy:

„Powiedz swoje zdane, Teklusi!

Do Jaśnie Wielmożnego Chorążego. Od JW. Pana zawiśł mój los, w jego ręku uszczęśliwienie moje. Zapewne poznajesz, że kocham JW. Chorążankę, a że chciałbym być jej przyjacielem dożgonnym, jemu się zwierzam. Znam sentymenta jego, charakter i sposób myślenia, zupełnie się spuszcza na jego układ, wołam urzędzenia. Wiem, że uszczęśliwiając jedną osobę, niezapominasz o drugiej. Jeżeli pozyskam jego aprobatę, a która z pierwszego poznania wraziwszy w sercu moim winne mu uszanowanie, chciałaby przydać przywiązanie synowskie aż do śmierci. Nie omylisz się JW. Pan Dobrodziej w niej w niczem. Zawsze

otwartość z prawdą idzie, nie obojętność albo uleganie do okoliczności, ale wdzięczność w każdym czasie nieprzerwanie za dobrodziejstwo jemu skazane.”

List ten napisał wskutek tak serdecznego wczorajszego przyjęcia i narady zobopólnej z chorążanką. Pochwaliły ten zamiar matka, panna Brygida i Tekla. Tocią odpisała, że myśl dobra i potrzeba przyspieszyć nadesłanie takiego listu.

Kościuszek jeszcze tegoż dnia go przepisał i przez Kniaziewicza posłał, ażeby doręczył go prezesowi. Sam rozdrażniony — w oczekiwaniu siadł na konia i wyjechał za miasto.

Śliczne okolice Międzybóża, świeży powiew wiosenny wpłynęły na jego uspokojenie. Wrócił do kwatery już późno wieczorem, ukończywszy już przegląd dwóch szwadronów jazdy, a stary Jędrzej doręczył mu kartkę od Kniaziewicza w tych słowach:

„Jenerale! doręczyłem twój list prezesowi. Nie rozpieczętował go przy mnie, ale oświadczył, że później nań odpisze. Był uprzejmy jak zwykle i gościnny, ale więcej zasmucony.

Karol.”

VIII.

W kwaterze rotmistrza Zaręby na rynku Międzybóża ruch niezwykły. Uwijało się kilku szeregowców, biegł Raciborski po mieście, a Janusz Gil ze Szwadronu rotmistrza, który oprócz zalety, że wybornie grał na trąbce, był zawołanym kucharzem, po obszernej kuchni przy wielkim ognisku komina z przewiazaną głową, z zakasanymi rękawami i białym u pasa fartuchem, uwijał się żwawo i kucheikowi oraz dwóm rekrutom wydawał rozkazy.

Mała kupka kartofli, jarzyna wówczas osobliwa, leżała na stole. Zaręba wydał mu szczegółowe rozporządzenia, co do ich przyprawy, a nauczył się jej w obozie konfederackim. — Przesłano jako dar osobliwy Kazimierzowi Pułaskiemu woreczek kartofli i oddano jego kucharzowi. Ten w głowę zachodził co z niemi zrobić, ale w końcu wpadł na wyborby concept, obrał z łupiny, ugotował i podał z jajecznicą. Wszyscy nie mogli się odchwalić smaku nowej potrawy i nasz rotmistrz wtedy razem ją pożywał: pamiętał więc dobrze, jak się obejść z kartofflami.

Walenty stary od rana pokilkakroć przychodził, a przynosił od panny Brygidy i w imieniu pani prezesowej, to chorążanki rozmaite przysmaki do przykrasy uczty, jaką dziś dawał Zaręba.

Z Warszawy przyjechał do Międzybóża poseł z sejmu Morski, przyjaciel i wielbiciel gorący Kościuszki. Rotmistrz, który go znał od lat młodych, dla uczczenia milego gościa podejmował go kawalerskim śniadaniem. —

Około południa w gronie znanych nam oficerów, szedł w polskim stroju z szablą u boku Morski. Piękna jego postać odbijała od urodnych wojaków. Dobrego wzrostu, średniej tuszy, okazałe w kontuszu i żupanie wyglądał. Czapka rogatywka okrywała podgoloną głowę. Wąs sumiasty zdobił oblicze pociągłe, wdzięczne i czerstwe. Rotmistrz już czekał przy wnijsieiu na wschody na gościa swego. —

Na pierwszym pięttrze stał Zaręba: miał dużą komnatę o dwóch oknach z gankiem na rynek, a przy niej dwie alkówki. — Na środku komnaty już stół był suto zastawiony: smak tu kredencarza Walentego odbijał. Kwiaty z ogrodu doktora zdobiły środek, przy nich stały konfitury rozmaitego gatunku, dar to panny Brygidy i Toci. Pomiedzy nakryciem przed honorowem miejscem stały dwa

gąsiorki opleśniałego węgryzyna, przysłane z piwnicy prezesa, który z powodu lekkiej słabości bytności swej odmówił. — Kościuszko od kilku godzin wyjechał był do Polonnego po długiej rozmowie z Morskim. —

Po przepiciu wódką gdańską i zakąscc to-ruńskim piernikiem zebrane towarzystwo zasiadło do stołu. Morskiego posadzono przed gąsiorkami, a gospodarz dał znak, aby przynoszono z kuchni. Walenty po obsłudze państwu swemu zdążył na czas do pomocy rotmistrzowi i sam obnosił potrawy.

Kawalerskie śniadanie rozpoczął barszcz, na wołowinie i wieprzowinie gotowany: po nim dano wyborne kielbasy z zawiesistym sosem, dar od pani burmistrzowej Międzybóża, która niedawno zabiła wieprza, a jako daleka krewniaczka rotmistrza nadesłała spory ich zapas. Teraz wniesiono na półmisku ogromnego szczupaka po żydowsku: wszyscy nie mogli się dość go nasmakować. Było to arcydzieło trębacza Janusza, który się przyprawy tej ryby nauczył już w Międzybóżu od młodej arendarki z austerji pani Mordkowej. — Po szczupaku podano *raritas*, jak wyrażał się Zaręba, — kartofle z jajecznicą — kończyła sutą ucztę ogromna picezeń huzarska, po której częstował słodyczami gospodarz. — Ale obecni zaledwie je pokosztowali; jeden Raciborski co się niemi uraczał obficie.

Rozmowa nie szła składnie, bo wszyscy przy dobrym apetycie naprzód głód zaspakajali. Ale przy wetach i po czystym węgryzynie rozwiązały się usta. Przyniesiono czarną kawę i fajki. —

— Teraz — mówił gospodarz do Morskiego — mój panie Piotrze, opowiedz nam nowiny stołeczne. My tu na partykularzu siedziny, jak mnichy w klasztorze.

Raciborski parsknął śmiechem i o mało się nie zadławił konfiturami, które zjadał łakomie.

Kniaziewicz zawtórzyl mu radośnie, Potocki uśmiech chciał ukryć, a Walenty odwrócił głowę i usta zasłonił serwetą. —

Zaręba z początku poczerwieniał, ale potem zaczął śmiać się serdecznie. —

— A żeby was kurki podziobały, mówił poczciwy wojak, nie ukryć przed nimi nie można.

Morski, który nie wiedział powodu tak naglej wesołości, ale więcej się domyślał, rzekł do gospodarza.

— Ej! Stasiu! zaczyna szydło wylazić z worka! Zapewne habrowe a śliczne oczka panny Orlewskiej zraniły serce konfederata!

Raciborski na nowo parsknął śmiechem i kończąc kieliszek węgryna, o mało się co nie zachłysnął. — Rotmistrz Potocki poważnie nastroił oblicze, ale Zaręba zaczął się śmiać tak radośnie, że Morski zmiarkował, iż się pomylił w swoich domysłach. Rzucił okiem na Kniaziewicza: młody porucznik siedział obłany rumieńcem, jakby na rozpalonych węglach; sam nie wiedział, co z sobą robić, czy dzielić radość swoich towarzyszy, czy mileżeniem pokryć odpowiedź. —

Ale doświadczony poseł łatwo odkrył, co się w sercu jego działo: ujął więc kieliszek i rzekł:

— A więc nieznaney bogdanki naszego gospodarza piję zdrowie.

— Za pozwoleniem, mówi Zaręba, takie zdrowie wypijemy z zapleśniałego gąsiorka.

— Ja tego zdrowia pić nie mogę, zawołał Raciborski.

— A to dla czego? pyta gospodarz, patrząc surowo i groźnie w oczy kadetowi.

— Bo nie chcę kłamać, zwodzić pana posła — odrzekł — my kochając szczerze naszego zacnego rotmistrza, znamy dobrze jego bogdankę! Wymieniam więc ją głośno: Wiwat panna Brygida Żurowska!

Zaręba ochłonał z wzrastającego już gniewu: rozchmurzyło się jego szlachetne oblicze, odetchnął tak swobodnie, jakby mu spadł kamień z piersi, pobiegł do Raciborskiego, a ściskając go serdecznie w swoich objęciach, zawołał:

— Teraz pijmy! niech każdy wychyli zdrowie tej, co kocha!

Morski podniósł poważnie puhar w górę — i rzekł:

— Moja bogdanka z dwójgiem aniołów w mogile schowana. Jestem sam wdowiec, i więcej ślubów małżeńskich nie powtórzę! Ale jestem na służbie Rzeczypospolitej — to nasza wszystkich bogdanka. Przed wszystkimi wznoszę jej zdrowie!

Toast ten wychylono z zapalem.

— Szkoda, że nie ma w naszym gronie naszego generała, mówił Kniaziewicz, ochłonawszy ze wzruszenia. —

— Smutny i smutny zawsze! dodał Potocki.

— Nasze życie, to nie jak wianki wić, moi przyjaciele, rzekł poseł. Byłem świadkiem niedawno wielkiej radości w stolicy; bogdajmym nie patrzył i na wielki smutek. Zbierają się groźne chmury na pogodnem dotąd niebie: czy Bóg zażegna burzę — to przyszłość pokaże.

Biedny Tadeusz! od pierwszej młodości doznawa ciężkich zmian losu! Zyskał sławę, piękne imię, a troska trzyma się go tak wiernie, jak szabla. Nie uwierzycie z jakim w czasie sejmu wspomniano go zapalem. Wszyscy mówili o nim, wyliczali waleczne jego czyny w Ameryce, które mu zjednały przyjaźń i szacunek dwóch największych ludzi w świecie: Waszyngtona i Lafajeta!

— A my go zarówno szanujemy, jak kochamy, rzekł Zaremba: dalej towarzysze na zdrowie naszego generała! —

Raciborski w tej chwili wbiegł do alkowy i dał znak powiewem chustki.

Kiedy wzniesiono kielichy, naraz huk moździerza zabrzmiał i wystrzały ręcznej broni!

— Co to jest! krzyknął gospodarz.

— Tak się pije zdrowie naszego generała, odrzekł spokojnie Raciborski: bo w dymie prochu wyn, przy huk armat — jego imię na nowo się uświetni!

Zaręba porwał za szyję kadeta i ucałował w głowę:

— Miałem cię za krogulczyka, mówił rotmistrz, rozrzewnionym głosem, a ty zaczynasz porastać w orle piórka. — Ale skądżeś u djaska wziął moździerz?

— Pożyczyłem go od księdza proboszcza od Fary, co go chowa na rezurekcyjną wielkanocną. Przecież wiesz, rotmistrzu, że nasza artylerja o dwie mile jest na łoży. —

Rozruch, który powstał w mieście na te strzały, wkrótce się uspokoił.

Walenty wcześniej wybiegł i uprzedził panią swoją i panny, ażeby się nie przestraszyły.

— Cóż tam? bawią się wesoło? zapytała kredencarza panna Brygida, zawezwawszy go do pokoju Toci.

— Bardzo wesoło — to nie powiem, ale ochoczo, odrzekł Walenty. —

— A czyż zdrowie pili?

— Pierwsze wypili panny Brygidy Żurowskiej, a naszej kochanej pani, i to mówiąc, pocałował ją w rękę.

Zakraśniała żywym rumieńcem poczciwa ciocka, ale ochłonawszy ze wzruszenia, chciała dalej indagacje prowadzić — kiedy rozległ się huk moździerza i ręcznej broni, a Walenty zawołał radośnie:

— Teraz piją zdrowie naszego kochanego generała!

Wymówiwszy te słowa, rozplakał się jak dziecko i ze zwieszoną głową wyszedł do przedpokoju! Tocia, Tekla i ciocka wbiegły do sali, gdzie siedziała z mężem prezesowa.

— Huczne kawalerskie śniadanie, mówił z uśmiechem Żurowski: wesoło się bawią. —

— Gdzie generał? zapytała matka.

— Od rana, wyjechał do Połonnego; tak mi mówił Kniaziewicz, odrzekła panna Brygida.

— No! moje panny, zaczniście się powoli pakować — mówił poważnie prezes — bo niedługo opuścimy Międzybóż. Wracamy do swoich Ilna towic, tam będzie nam wygodniej, bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. I doktor poleca to matce — i oszczędność każe, bo sakiewka coraz chudnie.

— Jak prędko wyjedziemy, panie bracie?

— Dnia jeszcze nie wiem, ale niedługo, niedługo!

Tocia z przyjaciółką zbladły obiedwie na pierwsze ojca słowa, ale odetchnęły swobodniej, gdy wyjazd ten był jeszcze niepewny i odwleczony.

Panna Brygida zaszępiła wyszła do swego pokoju, gdzie spotkała kredencarza, siedzącego w kącie na kufierku, osowiałego i zadumanego.

— Poczciwy mój Walenty — rzekła drżącym głosem — niedługo opuszczamy Międzybóż!

— Wiem, wiem o tem, kiwając smutnie głową, mówił starzec. A co się stanie z naszym generałem i z naszą kochaną panią?

— Niech Bóg się nimi i nami opiekuje — szukajmy w modlitwie pociechy i pomocy, mój kochany Walenty.

IX.

Nie zaniedbał Morski nazajutrz odwiedzić i złożyć swego uszanowania prezesostwu.

Żurowski rad był wielce posłowi sławnego sejnu, który ogłosił pamiętną ustawę trzeciego maja. Z zajęciem słuchał opowiadań Morskiego i natężył uwagę szczególnie, gdy tenże z zapalem mówił, jaki rozgłos miało imię Kościuszki na tym sejmie. ¹⁾

Morski przeszedł następnie do dworu króla Stanisława, uczonych, czwartkowych obiadów: malował wymownie postacię zasiadających na nich literatów, powtarzał liczne dowcipy, które z zamku wybiegały na miasto, a ztąd po całej Rzeczypospolitej. —

Nie uwierzysz, szanowny prezesie, że i moje imię stało się powodem głośniejszej anegdoty. Krewniak mój, ksiądz kanonik Morski, był zaproszony od króla i potrafił zwrócić uwagę jego, tak przez naukę, jak i gładką wymowę. — Szambelan Węgierski, uwijał się właśnie po sali, gdy król Jegomość, chcąc go zapoznać z kanonikiem, zapytał, czy zna księdza Morskiego?

— Najjaśniejszy Panie! odrzekł poważnie z miłą zadziwioną: widziałem cielę morskie, znam konia morskiego, ale księdza morskiego jeszcze nie widziałem!

Uśmiechnęła się prezesowa, gospodarz rozjaśnił zaszępienie ciągle oblicze i jakby od niechcienia, zapytał, co też porabia na dworze jego dawny znajomy, szambelan Ignacy?

Morski spokojnie odrzekł:

— Obecnie jest w niełasce króla za popełnione niemałe grzeszki. Pozbawiony pensji, przejadłszy dwie fortunki, spadł na niego przez sukcesję, jeździ po szlachcie, okłamuje ją, do czego ma

¹⁾ „Wiem, że Morski z entuzjazmem o mnie by gadał z przyjaźni i szacunku, cokolwiek słyszał i widział na sejmie o mnie, że byli łaskawi, chociaż nie zasłużyłem.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiej).

talent osobliwy i pod pozorem, że jedzie odbierać jakiś ogromny spadek po babce na Ukrainie pożyczka pieniędzy, których oczywiście nigdy nie odda.

Prezes zbladł ze wzruszenia i gniewu, że dał się tak łatwo uchwycić w sidła, zastawione przez oszusta i odwrócił głowę do okna, aby ukryć swe pomieszanie. Morski mówił dalej:

— Nie tylko w zamku królewskim, ale i w stolicy nie tak prędko będzie się mógł pokazać. Z zamku wyrzuciła go nielaska monarsza, a w Warszawie czekają go inni..., aby go uściskać serdecznie.

I wymownym ruchem ręki dał do poznania, jakie miałyby powitanie.

Żurowski ledwie mógł dosiedzieć na miejscu, gdy wszedł Książewicz: zerwał się przeto na jego powitanie, a po chwili wybiegł do sypialnej komnaty, po której przechadzał się szybko, aż zmęczony usiadł przy otwartym oknie. Powiew świeży orzeźwił go i uśmierzył wzburzenie. Ze spokojem obliczem wrócił do swoich gości.

Książewicz przy powitaniu Toci zręcznie jej doręczył mały liścik generała.

Dziewczę, skraszone rumieńcem, poskoczyło do swej komnatki i czytało następne słowa:

„Niech matulce i jej Teklusi szczęście zawsze jak najlepsze służy: dla jej dobra niech się wszystko stanie podług jej życzenia i myśli. Życzę i z serca powiadam, widzieć jak najszcześniejszą byłoby mi to wielkim ukontentowaniem. Niech niebo matkę i córkę błogosławi, niech i ojca, chociaż nieprzyjaznego mnie, szczodrem zleje bogactwem zdrowia. Życie wszyscy w zgodzie, w przyjaźni, sześliwi, a mnie pozwólcie, abym przynajmniej zapatrywał się. Wznaszam teraz ręce z ufnością prawdziwą, że moja modlitwa przyjętą będzie. Dobra noc, niech sen wam przyjazne objekta do upodobania stawi, niech nie nie przerwie snu dobrego. Całuje nóżki wasze

Tadeusz.“

Po przeczytaniu całego tego listu, załzawiły się jej oczy, ciężkie westchnienia piersi podniosły, gdy usłyszała głos ojca, na który zadrżała... Otarła co prędzej oczęta, schowała liścik i spokojna powierchownie wróciła na salę.

Niedługo weszli Zaręba i Raciborski; rotmistrz Potocki, został u jenerała na kwaterze. Ożywiło się towarzystwo. Młody kadet usiadłszy przy prezesowej, opowiadał jej szczegóły kawalerskiego śniadania i swoje wypadki, że się mało nie udławił i nie zachłysnął z powodu panny Brygidy i rotmistrza Zaręby. Śmiała się tak serdecznie rozweselona opowieścią Raciborskiego, że prezes uradowany jej humorem, zbliżył się do niej, a całując jej rękę, prosił kadeta o powtórzenie przygód śniadanych.

Zaręba tymczasem, w jak najlepszym humorze, opowiadał panie Brygidzie, jak tajemnicę jego serca wydano, ale rad jest temu, bo otwartość lubi, równie jak i szczerłość żołnierską.

Gdy Orlewska na uboczu z cicha rozmawiała z Kniaziewiczem — Tocia bawiła posła, który jej opowiadał wiele nieznanych szczegółów o Kościuszcze. Wreszcie chodząc po sali, weszli na ganek: tu Morski zniżył głos i długo mówił, a chorążanka słuchając go, bladła i czerwieniła na przemiany, wreszcie podając mu rękę, którą ucałował z uszanowaniem, rzekła spokojnym głosem:

— Uważałam to nad moje siły, lecz wzmożona pana posła radą i zachętą, spełnię odważnie. Ale proszę, niech to zostanie dla wszystkich głęboką tajemnicą. —

Weześnie rozeszło się zebrane towarzystwo: matka po modlitwie już snem spokojnym zasnęła: wszyscy spoczywali, dwie tylko osoby czuwały, trawione niepokojem. Żurowski chodził po sali zamysłony i Tocia, w kąciuku ukryta, która niespodzianie przed nim stanęła, a rzuciwszy się na kolana, gorącymi łzami oblewała jego rękę.

Co Tocia mówiła załkanym głosem, nikt nie dosłyszał, bo i ojciec cicho odpowiadał—z początku surowo, a potem padłszy na kanapę, nie mogąc dziewczęcia od nóg swoich oderwać, płakał z niem razem.

Po północy blada, zmęczona, przebolala wróciła do swej komnatki. Lampka nocna rzuciła słabe światło, przy niem ujrzała oblicze spokojne, uśmiechnięte swojej przyjaciółki.

— Szcześliwa, szepnęła sobie, może śmiało marzyć o swej miłości i o Karolu; ich związkowi nie stoi na przeszkodzie.

Uklękła przed obrazem Boga-rodzicy, a po gorącej modlitwie, padła bez siły na posłanie i wkrótce sen młodości zakleił jej oczy, serdecznymi łzami zroszone.

Nazajutrz powrócił do Międzyboża Kościuszeko, a Walenty doręczył mu liścik, pisany drżąca ręką ołówkiem, który zaledwie zdołał przeczytać¹⁾.

Stary kredencarz uwiadomił go, że panna chorążanka słaba leży, że nawet znacznie zmizerniała.— Jenerał prosił go, aby przyszedł niedługo, bo odpisze.

Pełen niepokoju — usiadł i skreślił następane słowa:

„Oddaję Ci wzajemnie, ale łzami skropione dobranoc. Lękam się o twoją matkę, niechże ona się nie gryzie na przymówki, albo impet dobrego, lecz niespokojnego umysłu, dla swej choroby. Niech panięta że ma dzieci, dla których zdrowie swoje szanować powinna. Uściśnij ją serdecznie, jak ciebie kocha, może dla ciebie uczyni; ucałuj ją szczerem serca przywiązaniem swoim. Ona cię przy-

1) „A propos, pisz wyraźniej, gdyż połowę utracam ukontentowania, albo jeżeli napiszesz ołówkiem, umocz w wodę, to się litery nie stracą.“ (List T. Kościuszki do Tekli Żurowskiej).

tuli dobrocią zwykłą swoją. Niech zaśnie dobrze, baw ją i rozrywaj, aby nabrała przychylnych do zasnania myśli. Ty, co tak czuła jesteś, zmniejsz ją, abys nie traciła zdrowia, które dla wielu jest potrzebne. Lecz co za okoliczność wypadła, powiedz mi, abys tak razem zapadła, i u nóg ojcu leżała. Powiedz, proszę mój aniele, co ci powiadał, aby razil tak dalece serce twe tkliwe, i sam potem płakał. O szczęściu moim nie wiesz, że trwa na każdym miejscu dla mnie? Nie widzę tego, ale nawet na każdym miejscu nie życzę. Miałas mi wiele napisać co się stało pomiędzy tobą a ojcem. O tym wszystkim nie wiem. Nie wiem o twym zdrowiu jak się masz teraz? Co myślisz nawet, radbym wiedzieć, radbym nawet być w sercu twojem, i ogarnąć sercem moim całą. Każdy moment o ciebie niespokojnym mnie czyni. Radbym przewidział myśl twoją i zaspokoić do ukontentowania twego. Co do mnie, wszystek drzę, ale nie od zimna, lecz z wewnętrznej niespokojności, cały mój umysł pomięszany, gorycz w mem sercu, i czuję gorączkę, szarpiającą me wnętrzności. Idź spać, i zaśnij w myślach tobie miłych i zdrowszą widząc matkę, przytul głowę do spokojności poduszek, okryj się pełnym duszy ukontentowaniem, a otwórz swe piersi z sercem do ucałowania przezemnie, nadstaw i ust choć delikatne, nie obrażę mem pocałowaniem z przywiązania. Oddaję się tej opatrności, która nam wszystkim jest dobroczynną. Jeszcze raz niech cię pocałuję: odchodzę, bo w myślach zawsze przytymnym jestem ciebie: daj nóżki, jeszcze raz bywaj zdrowa”.

Na wiadomość o słabości chorążanki nadbiegł doktor Stakensmitt: zbadał uważnie stan chorej; szepnął kilka słów do ucha, na które skraśniała runieńcem, ale i uśmiechnęła się rzewnie.

Otoczona troskliwością matki, panny Brygidy i przyjaciółki, orzeźwiła, gdy Walenty nieznacznie podał jej liścik powyższy jenerała. Po przeczytaniu go zachowała troskliwie, aby nikt nie wiedział o bolesnej scenie z ojcem, który teraz nadzwyczaj pokazał się czułym.

— Miej nadzieję, moje dziecko! może Bóg dozwoli, że się wszystko odmieni na szczęście twoje—szepnął jej odchodząc, a te słowa więcej pomogły, jak wszystkie lekarstwa.

W godzinę bowiem już ubrana siedziała na ganku, weselsza, lubo z przybladłem nieco licem.

Żurowski coraz większy niepokój utajał w sobie. Gryzł się oszustwem szambelana i stratą pewną dwustu dukatów, ale nie dowierzał Kościuszcze, tem bardziej, że znów otrzymał list bezimienny z ostrzeżeniem, iż jenerał zamyśla [o wykradzeniu córki.—Znał jej miłość i przywiązanie, bo mu sama na kolanach wypowiadała się ze swych uczuć. Nie wątpił, że Kościuszko łatwo do ucieczki namówić ją potrafi. W liście tym szczegółowy miał opis przygotowań do uwięzienia chorążanki.—Stracił głowę, wybiegał z domu, a robiąc tajemnicę przed wszystkimi, sam śledził każdy krok córki i jenerała.—Podchodził niby przechadzka pod dziedziniec jego kwatery, ukryty patrzył w otwarte okno od komnatki córki, czy nie ujrzy jakich znaków umówionych ¹⁾. Ale w kwaterze Kościuszki głęboko spokojnie panował: jenerał czasami siadywał na ganku, zatopiony w smutnem dumaniu, a w otwartem oknie ukazała się tylko panna Tekla, rzucając wiązaną kwiatów Kniaziewiczowi i zobaczył

¹⁾ „Dziś uważałem, że się koło okna przechadzał u was i mocno się patrzył w stronę ku mnie: zapewne jest w podejrzeniu jakowem, ale myśleć źle o nas nie powinien, i sam siebie krzywdzi i nas.” (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiej).

dygającą siostrę na głęboki, pełen uszanowania ukłon kłusującego rotmistrza Żaręby.

To czaty zabrały mu kilka dni czasu.

Długo się wahając, powziął stałą myśl jak najszybciej wyjazdu do domu. Zaprosił więc tegoż wieczora z jenerałem i posłem wszystkich znanych oficerów, a po kolacji, spełniając staropolski zwyczaj:

„Wiwat! kochajmy się”, oznajmił, że nazajutrz w południe już opuszczają Międzybóź!

Jak piorun uderzyła ta wiadomość Kościuszkę. Prezesowa i Tocia były do niej wcześniej przygotowane.

Żaręba i Kniaziewicz nagle posmutnieli;—nawet zawsze wesoly i gotów do radosnego śmiechu Raciborski, osowiał.

Żurowski żegnając zebrane towarzystwo, rzekł z więcej rozpodgonem obliczem:

— Chociaż się rozdzielamy, przyjaźń nasza zostanie, a każdego z was, gdy raczy odwiedzić moje skromne progi, przyjmę z otwartym sercem, „chlebem i solą, a z dobrą wolą”.

X.

— Konia! prędej konia dawaj Janusz i siadaj na swego,—wołał rotmistrz Żaręba.

— Konia!—wołali razem, przed stajnią stojąc, Kniaziewicz z Raciborskim.

Potocki już siedział na swoim gniadoszu, który rżał radośnie i grzebał ziemię kopytem.

Przed kwaterą jenerała głęboki spokój panował. W komnacie panien pusto było. Tocia siedziała zapłakana z przyjaciółką swoją i odczytywała list Kościuszki z pożegnaniem:

„Nigdy a nigdy o tobie nie zapomnę, mocno jesteś w mem sercu wrażona, aby odmiana sprawić mogła przez czas i odległość; prędej twoje zamie-

ni się widokiem młodszych, grzeczniejszych i bogatszych, jak ojciec ma nadzieję; ale żartuję, twoje serce wiem, że technie duchem przywiązania. Twój umysł dalekim jest rządzenia się powierzchownością. Chcesz tylko szczerego serca i masz go we mnie. Rozpatrz się jednak w charakterze moim, aby pomiędzy różnymi użyć sposobów ale otwartych, inaczej wiem, że twoja dusza tak dobra, brzydziłaby się postąpić inaczej. Wyjeżdżacie do Kordonu ¹⁾, jak długo zabawić myślicie, polegam na waszej delikatności serca i charakterze. Jeżeli odmiana stanie się, chociaż przeciwna mnie, a uszczęśliwiająca moją Teklusię, lubo zapłaczę, ale kontent będę losu jej. Używaj dobrych dni promienady. Zabawiaj się z matunią, jak najlepszą powiem w świecie. Schyl główkę na łono jej przywiązania dla ciebie, i zaśpij umartwienie z ucałowaniem zobopólnem i świętem zaufaniem jedna ku drugiej. Zabawiaj się czemkolwiek rysowaniem albo książką, czyli ogródkiem, abyś zdrowia nie straciła, które jest darem największym natury. Szanuj zdrowie swoje, i niech szanuje matunia nasza dobrodziejka; użyj sposobów do wybicia z uczucia jej wrażeń przykrych dla niej. Nie wspominać o sobie, co innie zadajecie ran z waszego niezdrovia! Bóg by dał, abyśmy żyć mogli razem! Bóg by dał, aby ojciec inszem widział mnie okiem, albo nie miał łatwowierności i niepowodowałby się przez drugich. Niebo z nami by było, uszczęśliwienie zobopólne, miłość, wdzięczność, uleganie i przywiązanie jedno tylko widziane by było. Może pobłądziłem w pisanin do ojca, ale otwartość zaw-

¹⁾ Tak nazywanó po pierwszym podziale kraju Galicję. Żurowski mieszkał w województwie podolskiem, ale miał zastawę w Galicji, i tam właśnie wyjechał z Międzyboża.

sze na to narażona jest. Nie umiem myśleć i mówić inaczej; prawda w sercu i w ustach moich jest zawsze, a każdy ma nieprzyjaciół mniej, lub więcej.

„Do ciebie teraz obracam się matko dobrodziejko, i ucałowawszy stopy twoje, dziękuję za twe świadczony łaski; przyjmij nieskażone dla ciebie uszanowanie z serca szczerego pochodzące, przyjmij wdzięczność, która się z życiem moim skończy; przyjmij i szacunek, który tak wysoki mam.

„Trzeba cierpieć na świecie, bez umartwienia miejsca nie ma, i słodzić nam tylko potrzeba przychodzące. Mając serce tak czyste, charakter tak wielki, czucie tak delikatne, trzeba mieć wewnętrzną satysfakcyją, która jest najprzyjemniejsza; odrzucić potrzeba wszystkie martwiące rzeczy, a zmniejszyć one rozumem swoim. Gdzież poszukać osoby, o którejby nie gadali, ale czystość sumienia ma swą nagrodę w duszy. Perswaduje ci matko dobrodziejko, co sam wykonać nie zdołam, ale masz więcej cnót i przymiotów, których ja nie posiadam.

„Da Bóg, tak się spodziewam, przy niewinności naszej, że szczypiące honor drugich żmijki w ciemności zawsze zostawać będą przed prawdą, której światłość zawsze im szkodliwa. Nocy im są przyjazne jak sowom lub niedoperzom, które szkodzą uśpionym niewinnym ptaszętom, ale dzień nadejdzie i znikną; dnia się zawsze trzymajmy, a Bóg nam dopomoże. Oddaję was opatrności, która i dla nich jest dobroczynna.

„Jedźcie z moim życzeniem, a bądźcie zdrowi i wszystko nam się powodzić będzie. Zawsze z wami będę chociaż nieprzytomny: sercem i myślą, które będą stateczne!

„Podłość nie przystaje do mnie, płaszczenie się równie, a nie mając nic do zarzutu, wesołym okiem podnieść głowę w górę mogę, ale nie po-

gardzającym na nikogo. Niech się stawi kto do zarzutu, a każdego zawstydzę, niech się nie boi zemsty: ale świadkami będę bronić się, i okażę prawdę, a nareszcie, jeżeli mam być zawsze w podejrzeniu, mam sprawować zawsze umartwienie, uchylę się od wszystkiego, abyście byli szczęśliwymi. Boże daj wszystko co chcecie; ja spokojności życzę, życzę w przyjacielu jeżeli otrzymam, znaleźć zobopólne zaufanie, przywiązanie, delikatność, czułość, tkliwość. Od głupich, zawistnych, złych, mściwych, zawsze będę mieszkając; w obrębie małych szczęśliwości żyć pragnę.

„Zapytajcie się przeciw uczciwych ludzi i niemających interesu: naprzykład księcia generała Czartoryskiego ¹⁾, Morskiego i innych w tej klasie: a jeżeli oni co z tego o mnie powiedzą, wierzcie wtenczas. Ale podle dusze, przyzwyczajone do zmieniania z wiatrem sentymentów swoich, aby mieli wiarę? Ale wierzcie co chcecie, daję wam na wolę.

„Macie rozum i piękny, możecie rozeznąć samą prawdę od fałszu, ja zaś kontent jestem, jak myślę, i niechęć się zamieniać na żaden charakter tych wszystkich Jchmościów. Całuję nóżki matki dobrodziejki. Sciskam was serdecznie, na zawsze z statecznością”.

Tocia, po przeczytaniu tego listu, w którym z całą otwartością tak się wiernie odmalował, gorzkiemi łzami się zalala, bo na samym początku zrobił jej wyrzut, że go dla innych zapomni. Matka czytając, smutnie potrzasała głową, gdy zątniła ulica i klusem wyciągniętym nadjechał rotmistrz Potocki, zeskoczył z konia i wbiegł do komnaty, gdzie zastał we łzach chorążankę.

¹⁾ Książę Adam Czartoryski, generał Ziem Podolskich i dowódca korpusu kadetów w Warszawie, gdzie się kształcił Kościuszko i zyskał jego względy i szacunek.

Od panny Tekli Potocki dowiedział się o powodzie smutku jej przyjaciółki, pożegnał więc na chwilę prezesową i pieszko pospieszył do kwatery generała. Niedługo wrócił i podał bogdancie Kościuszki list, który z pospiechem odczytała:

„Rotmistrz Potocki uwiadomił mnie, że byłem przyczyną łzów jej wylania. Tak drogie krople z pięknych źrenic, aby były zbierane z posądzenia mojego, w mem czuciu największe sprawia umartwienie. Klękam przeto i całuję rączki, póki jej nie przeblagam. Ale nie myśl, abym myśl miał kiedy oczerniać ją, tylko sposób otwartości mojej wrodzonej był skutek. Co widzę, myślę i słyszę, opowiedzieć osobie przyjaznej nigdy nie zaniedbałem. Teraz się poprawię, nigdy odtąd otwartości mojej do pani nie użyję, myśl nawet wstrzymaną będzie. Uszczęśliwienie drugich w największym u mnie jest poszanowanu, i swoje sakryfikować jestem gotów, i to tak szczerze powiadam, jak wierzę istności przedwiecznej, a dobroczynnej dla nas. Daruj przeto mnie! Wznaszam tylko ręce, z prawdą ucziwego człowieka, abyś była szczęśliwą.

„Już się niebo wypogadza, żyjcie bez żadnej przeszkody w zamysłach swoich. Niech żaden moment nie zasmuci panią. Miej ten szacunek i poważanie i miłość, jak teraz masz na zawsze. Niech koronuje wybrana miłość przywiązaniem stałym, zobopólnie z obfitością pod padających rzeczy. Niech nakoniec zdrowie, które wszystkim się staje dla człowieka, jeżeli nie może utrzymać na zawsze, utrzyma ją jak najdłużej. Zawsze się delikatnością w mych krokach wszystkich rządzić chciałem, a jeżeli przez ułomność zbłądziłem, niech jej dobroć serca wrzuci to w studnie zapomnienia.

Tadeusz.”

List ten, jeżeli nieco uspokoił chorążankę, z drugiej strony zabolął ją, gdyż w nim Kościuszko użył nie jak dawniej jej imienia, ale tytułował panią. —

Ukryła jednak cierpienie, starała się przybrać wyraz spokoju na pięknem swoim obliczu. —

Wszystko już było gotowem do drogi. Prezes naglił, aby na nocleg wcześniej sięgnąć. Doktor matkę sprowadził ze schodów do pojazdu. Zaledwie wsiadły do karety, gdy usłyszano tętent koni i gwar głosów.

Pędzili galopem rotmistrze Potocki z Zarębą, Kniaziewicz i Raciborski, który wszystkich na swoim siwku prześcignął. —

Ruszyła karetka z miejsca — i zwolna zwróciła się ulicą pod samą kwaterą generała. Kościuszko stał smutny w ganku i chustką oddawał pokłon Toci, która się wychyliła przez okno karety. Chorążanka z zażawionemi patrzyła na niego oczyma i rzuciła mu wiązkę kwiatów: Kościuszko podbiegł, schwytał je, podniósł do ust i ujrzał kartkę, na której ołówkiem drżąca ręką napisała te słowa:

„Tadeuszu! wierną ci będę do grobu.”

Te słowa dziwnie nań oddziały:

→ Konia! konia! prędzej konia, Jędrusi! — krzyknął z niezwykłym zapalem, biegnąc do kwatery, ażeby przypasać szablę i płaszcz zarzucić: ale nim wyszedł na ganek, już białonóżka osiodłana w pogotowiu stała, a przy niej siwy Jędrus. —

Kościuszko z rozjaśnionem obliczem wskoczył na siodło i wolnego stępa przejechał ulicę, ale za Międzybożem nacisnął ostrogami, a białonóżka jak wiatr pomknęła.

Pierwszy Raciborski bystreń okiem spojrzawszy za siebie, poznał pędzącego jeźdźca. Zdziwiony zwrócił swego siwosza i podjechałszy bliżej:

— Czy masz co do życzenia, mój jenerale?— zapytał z uszanowaniem.

— Mój Józiu — rzekł z uśmiechem Kościuszko — zręczny jesteś! urządz tak, abym swobodnie mógł się widzieć z damami, a żeby mnie nie zobaczył prezes.

— Dobrze! zaraz ostrożnie tak zamanewrujem, żeby nieprzyjacieli się cofnął.

Jakoż, gdy jenerał, z wolniwszy biegu, wstrzymał się nieco, kadet podjechał do ciągnącego się taboru karety, bryki brockiej, w której prezes siedział i dwóch wozów ładownych, poszeptał z Zarębą, Potockim i Kniaziewiczem, a sam usunął się na bok. Niezadługo rotmistrz Zaręba oddał trębaczowi swego konia, a sam przesiadł się do prezesa: po chwili bryczka brocka, która szła za karetą, wyprzedziła ją i wyciągniętym klusem pospieszyła naprzód. Zaręba namówił prezesa, a żeby wcześniej stanąć na noclegu i przygotować dla dam wygodę.

Kiedy już kurzawa zakryła ową brykę, Raci-borski podjechał do Kościuszki i salutując po żołniersku, rzekł:

— Mój jenerale! nieprzyjacieli spędzony z pola, tabor oswobodzony.

Kościuszko podniósł głowę z zadumy, a uściśnawszy rękę kadeta, w pełnym galopie posunął naprzód i przy drzwiczkach karety osadził białonóżkę w miejscu. Z okna jej już uśmiechnięta i uradowana twarzyczka wyglądała Toci, a matka wyciągnęła rękę na powitanie jenerała.

Kościuszko ucałował z rzewnem uczuciem tę rękę, a patrzył z zachwyceniem w oblicze rozpromienione swej bogdanki. —

Kadet nasz teraz objął komendę nad całym taborem, znając dobrze okolicę i wybrane miejsce na pierwszy nocleg. Po trzech godzinach podróży zatrzymał karetę i dał znak jenerałowi. Już bowiem

za laskiem przy dużej wiosce przed karczmą stanęła bryka brocka i prezes z Zarębą chodzili, wydając gościnnemu polecenia.

Kościuszko pożegnał damy, a Toci szepnął: do widzenia! na co skłoniła główką, jakby dając znak zapewnienia!

XI.

Miejsce, gdzie Kościuszko wstrzymał swoją białonóżkę, było pełne powabu. Gaj dębowy, mieszanym z brzozą, lipami i gdzie niegdzie modrzewiem, łączył się z dużym lasem, który okalał całą okolicę. Na uboczu przy gościncu stał domek gajowego z zabudowaniami gospodarskimi. Na środku małego podwórza kilkowiekowa lipa, jakby zielonym namiotem osłaniała go prawie zupełnie: na suchym wierzchołku dębu zaciągnięto koło i usłano gniazdo bocianów, które już wysiadywały młode pisklęta. Z ganezka donku otwierał się widok na łany zasłanych pól, wielką karczmę i wieś ludną.

Kościuszko zsiadł z siodła i wszedł na podwórze, prosząc o gościnność. Żona gajowego powitała go radośnie, krzyknęła na chłopca, aby konia wprowadził do stajenki, dała siana i nasypała owsa do żłobu, a sama kłaniając do kolan jenerała podług zwyczaju, prosiła, a żeby nie pogardził chlebem i solą, bo czem chata bogata, tem i rada.

Uprzejmie podziękował Kościuszko za tak gościnne przyjęcie i wszedł do pierwszej izby obszernej. Ściany jej zdobiły obrazy świętych: Chrystusa Pana i Bogarodzicy, przed którą gorzała dniem i nocą lampka.

Gajowa tymczasem otarłszy stół dębowy i stół, prosiła, aby Jasny Pan spoczął, dodając, że maż za chwilę powróci z boru, a ona tymczasem zajmie się przygotowaniem wieszery.

Kościuszek usiadł zadumany, gdy niedługo wszedł gajowy i powitał swego gościa. Dobrego wzrostu, siwizną przypruszony, okazywał w całej postaci starego bywalca po świecie i więcej wykształconego człowieka. Zrzuciwszy borsuczą torbę i postawiwszy w kącie izby strzelbę, rzekł z uszanowaniem:

— Wielmożny pan pozwoli, że rozniecę płomyk na kominku; jakkolwiek ciepły wieczór, ale weselej na duszy człowieka, gdy izba rozjaśni się od ognia.

Kościuszek skłonił głowę—a gajowy co rychlej naniósł suszu i rozniecił płomień.

Gospodyni nie bawiąc, stół nakryła białym obrusem i zastawiła kwaśną śmietaną z razowym chlebem i kuraka pieczonego.

— Moja kobieta zwinęła się gracko — mówił z uśmiechem radośnym gajowy:—niech Wielmożny Pan spożywa zdrowo dar Boży, a kurak, po ormiańsku upieczony, jak pomarańcza się rumieni.

— Nie zasłużyłem sobie u was moi przyjaciele — mówił z rzewnem uczuciem Kościuszek — na tak serdeczne przyjęcie, ale może będziecie w Międzybóżu, to proszę do swej kwatery: da Bóg odслужи.

— Dawno już nie byłem w mieście i moja kobieta także, ale ludzie gadali, że tam stoi sławny nasz generał, co bił się strasznie na drugim świecie. Wszyscy go bardzo chwala i oboje radziłyśmy go poznali. Bo proszę Wielmożnego Pana, to rzadki i osobliwy człowiek! Król go nasz poważa i szanuje, ma wolny wstęp do niego na zamek, kiedy zechce, a on żadnym choćby najuboższym nie pogardza chudziakiem.

— Jak będziecie w Międzybóżu—rzekł Kościuszek, spożywając smaczno wieczerzę—to was poznamię z tym generałem.

Oboje gajowi skłonili do kolan, dziękując, że będą tak szczęśliwi i poznają generała z bliska.

W tej chwili zatętniło przed domkiem i Raciborski przed gankiem osadził siwosza.

— Generale!—zawołał—czekamy na ciebie!— Kościuszek wybiegł co żywo z izby.

— Hej! gospodarzu! weźcie mego konia do stajni!

I to mówiąc zeskoczył i wprowadził wierzchowca na dziedzińczyk. Gajowy pochwycił cugle, a zbliżając się do kadeta, rzekł z ukłonem:

— Za pozwoleniem Wielmożnego panicyzka, czy to generał z Międzybóża, co to był na drugim świecie?

— Ten sam — odpowiedział Raciborski — to nasz generał Kościuszek i nasz ojciec.

I spiesznie zawróciwszy się pobiegł przed ganek, a żeby razem udać się w umówione miejsce. Gajowy stał osłupiały, równie jak jego kobieta.

— Mój Boże—rzekła po długim milczeniu — to on sam był, a my go nie poznaliśmy! Taki dobry pan! muszę mu drugiego kuraka upiec na drogę.

Wieczór był cudny czerwcowy. Księżyc wypłynął na jasne niebiosy i pełnem obliczem spoglądał na ciszę i spokój ziemski. We wsi słychać było gwar jeszcze, a ponad strumieniem lekka mgła osiadła. Chłód, co z boru przewiewał, orzeźwiał każdego. Kościuszek pędził galopem: nagle przystanął, jakby zmęczony i odetchnął głęboko. Śnać pragnął uspokoić wzburzone serce.

W cieniu lip i dębów na łące — na rozestawionych dywanach i poduszkach siedziały przesowa z córką i jej przyjaciółką. Potocki i Kniaziewicz bawili je rozmową; gdy nadjechał generał, Raciborski stanął na czatach.

Rotmistrz Zaręba z siostrą przesowa zostali w karczmie dla jego zabawy. Żurowski zręcznie będąc w wyborzym humorze, tak rozmowę nakie-

rował, że Zaręba oświadczył się o rękę panny Brygidy.

— Nie mam majątku — mówił — jak konia a szablę, ale mam zdrowe ręce do pracy i ochotę. Przy miłości i zgodzie to Bóg pobłogosławi i nasze stadło.

— Panie Rotmistrzu! — odrzekł poważnie prezes — robi mi to zaszczyt, że się z sobą zbliżymy więcej. Na początek gospodarki i ja mojej siostrze, którą kocham zawsze, dopomogę.

Panna Brygida rozrzewniona taką dobrocią, pocałowała brata w rękę, a on ją uściskał.

Przy ponęczyku siedząc Żurowski z Zarębą, tak w rozmowie utonęli, że zapomnieli o wszystkich.

Tymczasem równie przyjemnie bawiło się zebrane towarzystwo w dąbrowie cienistej.

Zacna matka nie traciła bynajmniej nadziei, że przejedna męża, który zezwoli na połączenie córki z jenerałem. Kościuszek uszczęśliwiony siedząc obok swej bogdanki, uważał tę chwilę za najszczęśliwszą w swem życiu: równego uczucia doznawał Książewicz, będąc pewnym wzajemności pięknej Tekli Orlewskiej.

Nagle, pōskoczył ku stronie domku gajowego Raciborski, usłyszawszy tętent koni i turkot pojazdu! Pędził nim żywo doktor Stakenszmitt, chcąc razem z całym gronem oficerów pożegnać raz ostatni swoich pacjentów.

Pojazd zatrzymał się u gajowego, a z kadetem nadszedł doktor, powitany serdecznie przez zebrane grono.

— Nie mogłem przenieść na siebie — mówił — żebym jeszcze moich państwa nie zobaczył. Teraz — dodał z uśmiechem — mamy wszelką swobodę wykradzenia chorążanki, co tak turbowało naszego prezesa. Pojazd gotów, ksiądz proboszcz w Mię-

dzybōżu jeszcze nie śpi: jest mama dobrodziejka i są świadkowie.

Smutnie potrząsnął głową Kościuszek:

— Nie taką drogą mogę posłubić chorążankę: zbyt ją kocham i szanuję, ażebym pozbawiał błogosławieństwa ojcowskiego.

Doktor uściskał rękę jego i rzekł:

— Wiesz doskonale, mój jenerale, że żartowałem. Znamy cię wszyscy i twój szlachetny charakter.

Rozmowa się orzeźwiła, wszyscy byli w najweselszem usposobieniu, gdy Janusz nadbiegł i dał znać kadetowi od rotmistrza, że już czas.

Było to hasło unōwione z Raciborskim.

Kościuszek czule pożegnał Tocię i matkę, polecając się przyjacielskiej pamięci panny Orlewskiej. Całe grono ruszyło ku karczmie, jenerał zaś samotny wrócił do domu gajowego.

Prezes powitał najserdeczniej doktora.

Około północy wszyscy pożegnali go wraz z żoną i pannami.

Potocki, Zaręba i Książewicz dosiedli koni. Janusz zatrąbił pojezdne i ruszyli z powrotem. Pojazd doktora nadjechał: Stakenszmitt wsiał w niego z Raciborskim, odprowadzony przez prezesa i razem z rotmistrzem ruszył gościńcem.

Gajowy z żoną czekał z utęsknieniem na powrót jenerała, aby pokazać mu swe uszczęśliwienie, że mógł go poznać bliżej. Ale widząc, jak szedł zwolna z opuszczoną głową, ocierając oczy chustką, przygnębił jakąś boleścią: nie śmieli ust oboje otworzyć.

Kościuszek usiał na ganku mileząc i wlepił wzrok swój w oddaloną karczmę, gdzie ruch był niezwykły.

Towarzysze jego dosiadali koni; a Janusz wygrywał pojezdne. —

— Czy nie macie gosposiu dzieci? — zapytał po długim milczeniu. —

— Mamy tylko, jaśnie panie jenerale, jedy-naczkę! — odpowiedziała, schylając się do jego kolan. —

— Moja matko, poprosz dziewczki swojej. Choć ją poznać. —

— Jagusia! Jagusia! zawołała; wnet wybiegła dziesięcioletnia dziewczyna, świeża i rumiana, schludnie przybrana, ale z bojaźnią stanęła w kąciku na widok pana.

Kościuszko dał znak, przyciągnął do siebie, a pogladziwszy po pełnej twarzy czcąc ją, wsunął jej dwa dukaty złotem na korale. —

Skraśniało dziewczę, nie wiedząc co robić, a gajowy z żoną z głośnym radosnym płaczem upadli przed nim na kolana.

— To nasze szczęście wielkie! mówił gajowy przerywanym głosem: widocznie Bóg nam błogosła-wić będzie i naszej Jagusi.

Kościuszko, wzruszony do głębi duszy, podniósł pocziwych ludzi i uściskał.

W tę chwilę nadjechali towarzysze broni i do-któr. Wskoczył z pojazdu Raciborski, dosiadł si-wosza swego a gajowy wyprowadził białonózkę. Stakenszmit pożegnał skinieniem ręki przyjaciół, spiesząc do Międzybóża. —

— Janusz! — krzyknął wesoło rotmistrz Za-ręba, — zatrąb teraz naszą pobudkę: tam będą damy wiedziały, że ruszamy w drogę!

Trębacz pó mistrzowsku zagrał: a cały orszak ruszył wolno gościńcem.

Pocziwa gajowa zapomniała o upieczonym kuraku, który miała ofiarować Kościuszce na drogę!

Przed karczmą siedziały na ławeczce niskiej Tocia z przyjaciółką. Strumień, co się wił w da-browie, w pobliżu przepływał krętem korytem.

Dziewoja wiejska nabrawszy w dzbanek czystej wody, wracając do najbliższego dworku, w którym mieszkał z rodziną stary konfederat barski, zaśpie-wała ślicznym głosem znaną piosnkę:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,

Jak różowy kwiat:

Białe rączki załamała,

Czarne oczka zapłakała,

Zmienił jej się świat.

— A czego płaczesz, czego żałujesz,

Dziewczyno moja?

— Jakże nie mam płakać, jak nie mam
żałować?

Nie będę twoja.

Rzewna nuta melodji wzruszyła obie dziewczice: Tocia drżącą ręką pochwycawszy dłoń przyjaciółki, rzekła:

— Słyszysz, Teklusu? i zanuciła na wpół z płaczem:

„Jakże nie mam płakać, jak nie mam żałować?

Nie będę twoja!”

— O dobrze! dobrze — mówiła dalej, że tej pieśni nie słyszy Tadeusz!

Ach! Tekluniu, smutna to wróżba dla mnie!

W tę chwilę wyszła panna Brygida, wzywając na spoczynek; bo już dawno po północy i już dru-gie kury dają znać o świtanium.

XII.

Za powrotem do Międzybóża dowiedzieli się od posła Morskiego Kniaziewicz i Potocki, że to on namówił i zachęcił chorążankę, aby ojeu wy-znała swą miłość i przebłagała zawziętość jego przeciw Kościuszce.

Zurowski wysłuchał cierpliwie tej spowiedzi, pohamował gniew gotowy do wybuchu z obawy nieprzestraszenia swej żony, płakał ze swą kochaną Tocią razem, ale stanowczo odmówił pozwolenia swego na związek małżeński z jenerałem.

— Ja jadę do mojej bratowej kasztelanowej — mówił Morski. Starajcie się rozrywać naszego Amerykanina w smutku i boleści. Z natury skłonny do dumania, lękam się, aby nie wpadł w czarną melancholję. — Ty, rotmistrzu — zwracając się do Potockiego — i ty, rotmistrzu — wskazując Zarębę — razem z nimi, których tak kocha — rzekł biorąc za ręce Kniaziewicza i Raciborskiego — połączcie braterskie usiłowania, żeby jenerała nie zostawić w samotności. Wiem tylko jeden sposób, coby oderwał jego myśl od smutku...

— A jaki? a jaki? — zapytali wszyscy razem...

— Tylko wojna! a do tej nie ma teraz żadnego podobieństwa. Bywajcie mi zdrowi, kochani przyjaciele; idę do Kościuszki na pożegnanie.

I uściskał wszystkich po kolei.

Potocki zaprosił towarzyszków do swej kwatery na radę walną, co obrzyść należy, żeby wykonać rozrywkę jenerałowi.

Było koło południa. Gospodarz kazał podać starą litewkę i przegrzybkę, złożoną z chleba, masy, bryndzy i wędliny.

Kieliszek obszedł kolejką.

Zaremba zapaliwszy fajkę, rzekł poważnym głosem:

— Głupia to rzecz miłość! co też ona nie wyrabia z ludźmi!

Raciborski parsknął śmiechem, Kniaziewicz milcząc kiwał głową, a Potocki odpowiedział:

— Mój rotmistrzu, wielką prawdę powiedział: — czuje to dobrze nasz poczciwy Tadeusz...

— Czuje i sam rotmistrz — dodał Raciborski...

— Milez, smarkaczu! — z dobrotliwym uśmiechem krzyknął Zaręba, puszczając mu gęsty kłęb dymu w oczy. —

Kadet odmuchiwał chmurę gryzącą, gdy Potocki mówił dalej:

— No to jeszcze nic, gdy się kawaler z panną pokochają...

— Jak nie przymierzając nasz kochany rotmistrz z panną Brygidą — przerwał Raciborski.

— Dajcie mi tu pistoletu, albo dubeltówki, albo moździerza czy haubicy, żebym raz sprzątnął tę srokę! — krzyknął niby gniewny Zaręba, a ścisnął i całował młodego kadeta.

— Ale ja wam powiem co lepszego. Znacie Koziętulskich? Pobrali się z prawdziwej miłości i poswarzywszy się z sobą, poszli do rozvodu. Potem znowu zakochali się szalenie w sobie i ślub powtórzyli przed jedenastu laty. W rok później uszczęśliwieni kołysali dzielnego chłopca, co im się urodził się w Skierniewicach. Teraz ma już lat dziesięć, dobrze jeździ na koniu i myślę, że będzie z niego tęgi żołnierz, mospanie ¹⁾!

— Ależ przystąpmy do walnej narady, — przemówił milczący Kniaziewicz.

— Ja sędzę — rzekł do chwili namysłu Potocki, — że najlepiej będzie wezwać pomocy dam do tego; one najlepszy znajdują na to środek. Ja pojedę do księżnej Sapieżyny, wstąpię i do pani Grabianczynej: Kniaziewicz niech jedzie do dobrej przyjaciółki Kościuszki, kasztelanowej Morskiej, gdzie znajdzie i naszego posła. Rotmistrz Zaręba odwiedzi Bejzymów...

— A mnie czy nigdzie nie wyprawicie? — zawołał płacziwym głosem Raciborski.

¹⁾ Przepowiednia się sprawdziła. Jest to ten sam sławny Koziętulski, co zdobywał wąwozy Somo-Sierra w Hiszpanji.

— Mój Józiu — odrzekł Potocki — stryjenka twoja mieszka blisko Ilnatowic prezesa. Wpadniesz do niej, niby ją stęskniony odwiedzisz, ale zarazem zobaczysz się z chorążanką.

— I z panną Teklą!

— I z panną Brygidą! — przemówili razem Kniaziewicz i Zaręba.

— I zapewne słodkie od nich bileciki wam przywieść! — dodał kadet, uśmiechając się wesoło.

Kościuszeko w chwili tej narady siedział zamysłony nad mapą Rzeczypospolitej i zakreślał na niej jakieś linje i znaki. Pewny miłości swej ukochanej, wrócił do ulubionych zajęć: czytania, rysowania i zadumki.

Jędrzej tymczasem pomagał Januszowi, który, jeżeli trąbił wybornie pobudkę i pojezdnego, nie mniej był doskonałym kucharzem.

Podług umowy swojej dzień po dniu, zacząwszy od rotmistrza Potockiego, rozjeżdżali się nasi przyjaciele w okolice na narady. Jakoż ze wszystkich stron odbierał zaprosiny Kościuszeko.

W parę dni odwiedził najbliższy dwór Bejzymów, gdzie zastał księżnę Sapieżynę z córką. — Księżniczka, która do grona swoich wielbicieli pragnęła policzyć i Amerykanina, z zachmurzonem obliczem go powitała, dowiedziawszy się o gorącej Kościuszkowej miłości dla Tekli Żurowskiej. Nie umiała i nie chciała ukrywać swego gniewu i rozjątrzenia.

Te odwiedziny zepsuły jenerałowi dobry humor, z jakim przybył do Bejzymów: skrócił więc swój pobyt i jeszcze smutniejszy, jak dawniej wrócił do swej kwatery.

U kasztelanowej Morskiej znalazł przecie serdeczne, gościnne i prawdziwie przyjacielskie przyjęcie. Nie potrzebował ukrywać swego przywiązania do chorążanki, które gospodyni domu pochwaliała ze współczuciem. Tu też bawił ochoczo i swobo-

dnie, a zaczął kasztelanową uważał jako wielką swoją przyjaciółkę.

Raciborski nie odwrócił ułożonego zamiaru: prosił Kościuszkę o urlop, nie mówiąc, gdzie ma zamiar jechać i nazajutrz Międzybóż opuścił.

Żurowski za przybyciem do swego dworu w Ilnatowicach, odetchnął z całą swobodą. Stał się jeszcze więcej troskliwym o zdrowie swojej panielki i czulszym dla córki. Spokojny o jej wykradzenie, zachmurzał nieraz czoło z powodu podejścia i oszustwa szambelana, który znikł jak kamień w wodzie. Zajęty gospodarstwem, w kilka dni przypomniał sobie dopiero, że na list Kościuszkowski, doręczony sobie przez Kniaziewicza, nie odpisał dotąd pomimo danego przyrzeczenia!

Długo rozmyślał i zadumany w swojej kancelarii siedział. Dobył wreszcie z pugilaresu list naszego jenerała i z uwagą począł odczytywać.

Kościuszeko pisał go w wielkiem rozdrażnieniu, odebrawszy list prezesa, w którym wyrzucał mu zamiar wykradzenia córki. Czytał go już w Międzybóżu, ale pragnąc dać odpis, na nowo punkt za punktem przebiegał oczyma.

Zamiar zerwania ostatecznie z Kościuszką i odmówienia ręki córki stanowczo powziął. Do różnicy wieku, która była znaczna, bo jenerał liczył czterdziesty piąty rok życia, a Tocią kończyła siedmnastą wiosnę, łączyła się uwaga, że jako żołnierz, powołany na pole walki, łatwo zginąć może i wcześniej owdowiałą żonę pozostawić. Przygody życia, które mu dały sławę, w jego umyśle przedstawiały charakter awanturniczy. Nie miał w ostatku pewności, czy rzeczywiście wieś dziedziczną posiada. Nie wahał się więc w swoim postanowieniu.

— Mojej Toci potrzeba szlacheica gospodarza — nie wojaka: spokoju — nie obozowych przygód.

Tak w myśli sobie powiedział i zaczął z całą uwagą list Kościuszki odczytywać na nowo. Ten sam list po pierwszym odczytaniu swego czasu otworzył Kościuszcze drzwi domu prezesa.

Teraz zadumał się Żurowski i spał głowę na rękę, gdy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Co rychlej schował list otwarty i odsunął zasuwkę, a po chwili weszła siostra Brygida z ożywionem nie zwykle obliczem.

Przyszłam donieść panu bratu, że do sąsiadki naszej przyjechał wczoraj dobrze nam znajomy kadet Raciborski.

Żurowski uradował się podwójnie — raz, że młodego chłopca pokochał szczerze, a powtóre, że zdarzała mu się dobra sposobność przesłania odpisu generałowi.

A trzeba go prosić do nas: niech Walenty zaraz rusza i prosi na obiad. A wyklóć się z nim i za uszy pociągnę, żeby być tak blisko i nie odwiedzić zaraz. Biegnij Brygisiu i wysyłaj kredencarza.

Panna Brygida nie traciła czasu, a Walenty w pół godziny na półowce przywiózł kadeta.

Ożywił się cały dwór osmutniały w Ihnatowicach. Prezes przyjął go tak serdecznie, jak syna. Raciborski doręczył liściki panie Tekli od Kniaziewicza i Brygidzie od Zareby.

A do mnie — przemówiła rzewnym głosem Tucia — nie masz ani literki?

Raciborski opowiedział jej szczerze smutek Kościuszki i układ, jaki mieli między sobą.

— Generał nie wiedział, gdzie jadę, nie pytał o to i jam mu nie powiedział. Chciałem tylko państwa widzieć i dowiedzieć się, czy jakiej pociechy ztąd nie potrafię mu przywieść.

Po kilku dniach pobytu—to w Ihnatowicach, to u stryjenki, Raciborski przybył w ostatku na pożegnanie.

Tucia zapłakana doręczyła mu mały splot włosów ze swego warkocza dla Kościuszki; panna Brygida i Orlewska odpisy swoje. Matka prosiła pozdrowić wszystkich, a szczególnie kochanego Amerykanina.

Na samem wyjeździe prezes zaprosiwszy go do swej kancelarji, oddał list zapieczętowany, ażeby go do własnych rąk generała złożył. Raciborski uradowany, pewny, że w nim wiezie najlepsze lekarstwo na smutek i tęsknotę ukochanego do wódcy, gnał co siły do Międzybóża.

XIII.

Po zachodzie słońca Raciborski przybywszy na leże, pośpieszył wprost do kwatery generała i doręczył mu list, jako i dar chorążanki; ztąd pobiegł do Zareby i Kniaziewicza, których uradował wiadomością o zdrowiu i odpisami ich boganek. Wrócił z równym pośpiechem do domu i padł utrudzony, snem zmorzony.

Nazajutrz rano ze świtem przyszedł stary Jędrzej do Gila trębacza i pod wielką tajemnicą mu opowiedział, że się coś dziwnego działo w kwatrze Kościuszki.

— Jak tylko, mój kolego (mówił sędziwy wiarus) młody kadet doręczył list naszemu generałowi, a ja wyczyszczony mundur przyniosłem do pokoju; widziałem jak załamał ręce, ciężko wzdychał, porwał się z kanapy i chodził niespokojny, a błąd jak chusta. Ja wyszedłem, ale stanąłem w ogródku za krzakami bżowemi tak, żem wszystko widział. Kilka razy brał ten list do ręki, wlepił oczy i rzucił go na stół. Coś do siebie gadał, ale nie dosłyszałem słowa. Potem usiadł i długo, długo płakał jak bóbr rzewnemi łzami, aż i mnie lzy słone na wąsy spadły. Nie kładł się wcale do łóżka, ale tak przez noc całą to chodził,

to siadał. Drugie kury zapiały, kiedy chudziątko strudzone rzucił się na kanapę nie rozebrany i zasnął. Spi jeszcze, a ja tu do was, kolego, przybiegłem na naradę; możeby co nasi panowie oficerowie w tem pomogli.

Trębacz zamysłony uścisnął rękę pocziwego starca, a sam pośpieszył do Kniaziewicza, któremu opowiedział wiernie, co słyszał. — Ten, nie tracąc chwili, stanął w kwaterze jenerała, ale już go nie zastał. Rano wsiadł był Kościuszko na konia i wyjechał za miasto.

Uchylił drzwi tylko przymknięte od sypialni Kościuszki: łóżko było nietknięte. Na stoliku leżał list otwarty i przy nim drugi adresowany do Tekli Żurowskiej i jej matki. Kniaziewicz przebiegł go szybko oczyma:

„Teraz nie widzę sposobu po takim liście: na wspomnienie samo we mnie rozbudza krew. Dziękuję jednak za twoje łaski dla mnie, które w niewygasłej pamięci u mnie będą. Twój charakter, przywiązanie dla córki rzadkie, będzie przykładem wszystkim, a monument dla ciebie jest zgotowany w sercach wszystkich dobrze myślących. Twoja łagodność pokryje umartwienia różne, jednostajność umysłu będzie zawsze uwielbienia godną. Daruj, że tak późno poznałem twój sposób myślenia; tym śpieszniejszym bym był całować twoje ślady. Żyj szczęśliwa i długo, a nagrodę znajdziesz, kiedy będziesz chciała. Mój Boże! co za myśl okrutna, abym rwał miał prawa natury i pomimo ojca wyrwał mnie kochaną. Pasja to jemu dyktowała i odmienił się twarz we mnie na pogodę i jemu życzę z serca najpomyślniejszych momentów. A tyś serca mego ożywienie i coś miała być słodyczą całego życia mego, Teklusi, daruj, że wyrazów stosownych nie znajduję w tym momencie, lecz z przytuleniem chustki do mych oczu skłaniam głowę

moją do ucałowania twych nóżek z przywiązaniem stałym na zawsze.

„Nie podnaszaj mnie, ale podepcz wszystkie moje przyjaźni dowody i utop w zapomnienie moje dla ciebie kochanie, odrzucony od ojca i od ciebie bydź muszę. Obraz jednak twój w mym sercu zawsze będzie, twym duchem oddychać będę i twym sercem żyć będę; gdzie się obrócę, cień twój śledzi mnie zawsze. Umysł napełniony obiektem, we wszystkich widokach twój portret znajduję, a chociaż mnie czynisz nieszczęśliwym, niech ciebie znajdę najpomyślniejszą.

T. K.

Kniaziewicz zadumał się nad tym listem.

— Zawsze (myślał sobie) w tej szlachetnej duszy tkwi rana, podejrzeniem zadana o podłość wykradzenia z domu rodziców tej, którą tak ukochał. Nigdy ból ten nie uspokojony! lada okoliczność odnawia go i oburzenie na nowo wzrasta. Więc to ostatnie twoje, mój jenerale, pożegnanie z tą, którąś ukochał tak czystą miłością!

Wtem zatętniał podwórzec przed dworem i zsiadł ze znieczzonej białonóżki Kościuszki. Kniaziewicz wybiegł naprzeciw niemu, a ściskając serdecznie podaną rękę, rzekł ze współczuciem.

— Jenerale! wiem wszystko, wszystko czytałem. Niech Bóg dobry ześle pociechę na twoją boleść.

I wzruszony do głębi serca z opuszczoną głową odszedł.

Osmustniało nasze grono przyjaciół w Międzybożu: Zaremba i Kniaziewicz, uszczęśliwieni pełną wzajemnością swoich kochanek, taili radość i cicho między sobą wspominali ich imiona. Czasem schodzili się razem do zwierzyńca doktora, który szanując boleść milczącą Kościuszki, w przechadzkach wieczornych nigdy nie wspominał o przeszłości, a starał się zwracać rozmowę i uwagę na bieżące wypadki krajowe. Jakoż zachmurzał się

coraz groźniej horyzont polityczny. Głuche wieści z końcem sierpnia nadbiegły z Warszawy do Międzybóża o knowaniu tajnych w celu obalenia Ustawy Rządowej 3 maja. Kościuszko z Kniażiewiczem w połowie żniwa wyjechali. Jenerał pragnął zobaczyć i odwiedzić miejsce swoje rodzinne w powiecie słonimskim. Z rzewnem uczuciem zroszonymi oczyma poglądał i powitał kolebkę swoją; ów dwór z podwójnym dachem w Mereczowszczyźnie, skromny ogródek i tę alkowę, w której go do snu pieśnią matka kołysała. Wspomnienie jej przywiodło mu na pamięć i jego bogdankę, bóg matce jego było także inię Tekla.

Obszedł dwór cały, ale zatrzymał się przed boczną alkową i powstrzymał Kniażewicza.

— Nie chódź tam Karolu; tam ściany jeszcze obryzgane krwią mojego ojca, który padł pod ciosami siekier morderców. Smutne i bolesne wspomnienie! ¹⁾

W ogródku usiadł zmęczony; pusto było we dworze, żadnej znajomej twarzy nie spotkał; wszyscy byli to nowi mieszkańcy i poglądali nań, jak na nieznanego przybysza.

Nad wieczorem opuścił Mereczowszczyznę i wrócił z przyjacielem do Międzybóża.

W kilka dni nadbiegł kurjer z depeżami od księcia Poniatowskiego. Ruch niezwykły ożywił milczące i spokojne miasto.

Od tej chwili adjutanci Kościuszki rozbiegali się w różne strony. Raciborski awansowany na podporucznika, prawie nie zsiadł z sivosza, rozważając rozkazy jenerała do różnych komend w okolicy Międzybóża.

¹⁾ Ojciec Kościuszki, popędliwego charakteru, srogo obchodził się z włościanami swymi: ci oburzeni jego tyranją, przywieźdzeni do rozpacz, napadli dwór i zamordowali go w r. 1768, — (L. Chodźko. Życiorys T. Kościuszki).

Kowale na nowo przekuwali konie kawalerji i do zaprzęgów używane. Opatrywano troskliwie wozy amunicyjne i robiono przybory, jakby w pogotowiu się miano do prędkiego wymarszu. Kościuszko od świtu zajęty był to mustrą piechoty i jazdy, to sprowadzonej artylerji, która strzelała do tarczy z dział dla wprawy. — Gromady rekrutów rozdzielano pomiędzy pułki, ubierano i wprawiano w robieniu bronią, obrotach i maszerowaniu.

Pobudki trębaczy, odgłos bębnow mięszał się z salwą dział i ręcznej bronii. Kościuszko orzeźwiał w swym smutku; list swój, który czytał Kniażewicz, przesłał chorążance do Ihnatowic. \ Kiedy po trudach całodziennych, odpoczywał w ulubionym zwierzyńcu Stakenszmitta, doktor na pół z uśmiechem, na pół ze smutkiem, mówił:

— No! mój jenerale, coś nadchodzą czasy wojenne. Dym prochowy z waszych armat i karabinów przygłusza woń moich roślin i kwiatów. Oby Bóg ochronił nas od klęsk spodziewanych.

Kościuszko odpowiedział tylko westchnieniem głębokiem.

XIV.

Rok 1792.

Przewidywania bliskiej wojny spełniły się nie długo; z wiosną 1792 r. nad armją Rzeczypospolitej objął główne dowództwo książę Józef Poniatowski. Kościuszcze oddano jedną dywizję. — W maju jenerał opuścił Międzybóż, biorąc kierunek wskazany po nad lewym brzegiem Bugu.

Zaszła bitwa dnia 17 czerwca pod Zieloncami, w której miał świetny udział Kościuszko. Armja odebrała rozkaz cofania się. Kościuszko ze swoją dywizją stanął pod Dubienką.

Prezes Żurowski z powodu przechodu wojsk i niepokoju opuścił Innatowice i przeniósł się do Zahajpola, małego folwarczku, który kupił w granicach Galicji o dwie małe milki od Dubienki.

Dnia 17 czerwca równo z poranną zorzą huk dział i ręcznej broni z nad Dubienki spłynął wyraziście po rosie i odbił się o drewniane ściany dworku w Zahajpolu, w prostym bowiem kierunku pole bitwy na milę nie było odległe.

Żurowski kazał sobie co prędzej osiodłać konia i z dwoma kozaczkami podolskimi na dobrych mierzynach ruszył do pobliskiego lasu. — Zaraz za borem wznosiło się wyniosłe wzgórze, z którego rozległy był widok na całą okolicę, a Dubienkę widać było jak na dłoni. Na środku wyrastało kilka dębów starych rosochatych i jodeł wysmukłych.

Żurowski dojechawszy na to wzgórze, zawołał jednego luzaczka.

— Iwanku! wleż na ten dąb, a co zobaczysz, mów mi zaraz.

Zwinny Podolak w mgnieniu oka zawisł na wierzchołku, ale dla dymu z armat i ręcznej broni, nie dokładnie widzieć nie mógł. Żurowski bliżej sam podjechał i lepiej mógł widzieć krwawą walkę.

Po siedmiogodzinnej kanonadzie nieprzyjacieli rzucił się do ataku. Kościuszkowski ze swoją dywizją, wynoszącą 4000 żołnierza, z dziesięciu działami, stanął pod Dubienką, prawe swe skrzydło oparłszy o graniczny słup Galicji, lewe o brzeg rzeki Bugu. Słychać było straszny okrzyk licznego nieprzyjaciela, bo 18000 liczącego wojska. Okrzyki te tłumili wystrzały armat i karabinów. —

— Iwasiu! — zawołał niecierpliwy Żurowski, posilając się z horsuczej torby — czy nasi się trzymają?

— Stoją jak dęby, panoczku! ani się razu nie zachwiali.

— Dzięki Bogu! On tam dowodzi — biedna moja Tocia i moja panienska. Pod Twoją obronę...

I odmówiwszy modlitwę, zostawiwszy Iwasia na straży, sam pospieszył do domu. —

We dworze pusto było; wszystkim co żyło, pobiegło na granicę. W pokojach pusto, tylko w sypialni przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej klęczała matka z córką zapłakane i tak zatopione w modlitwie, że nie słyszały jego przybycia.

— Biją się jeszcze nasi — rzekł wzruszonym głosem. — Jenerał zdrów, żyje, wszystko ożywia, i trzyma się dzielnie. To prawdziwy bohater.

Tocia, która blada jak chusta klęczała, na te słowa poruszyła się żywo, wzrok jej zajaśniał ogniem, rumieniec zbarwił oblicze:

— Żyje! — zawołała — żyje! dzięki Bogu. O mój Tadeuszu! zanosilałam gorące modlitwy do Opiekunki i Orędowniczki naszej. —

— Moja panienska i ty, Tociu, przygotujcie szarpi i bandaży; nasz doktor z Międzybóża lada chwila przyjedzie, jużem dawno posłał po niego konie rozstawione. Zbierzcie czeladź, nagotować strawy, bo czas do roboty. Ja jadę na granicę i niedługo wrócę.

W miarę, jak się zbliżał do lasu, okrzyki ustaly, a strzały armatnie coraz się oddalały. Kiedy dojechał do wzgórza, Iwanko już się zsunął z dębu i ukazał na drożynę przez las idącą. Żurowski poskończył co żywo i ujrzał niesionego przez włościan krwią oblanego Żarębę, a przy nim idącego z obwiązaną ręką Raciborskiego.

— Petruk! — krzyknął na kozaczka drugiego — prędzej do dworu po moją brykę! Gnaj co żywo!

Sam przyskoczył bliżej.

— Panie Józefie! czy żyje nasz rotmistrz?

— Zdaje się, bo oddycha jeszcze, ale ciężko ranny.

— Biedna Brygisia!—pomyślał sobie, gdy w tej chwili zatętniła bryka brocka i wyskoczyła z niej panna Brygida w towarzystwie Toci.

Żurowski nie rzekł słowa, tylko ręką wskazał na rannego.

— Mój Stasio!—krzyknęła z płaczem.

Ranny na ten głos znany otworzył oczy i poruszył ręką.

— Iwanku!—zawołał Żurowski—zrób posłanie w bryczce, położym rotmistrza. Opatrzony był na przedce, ostrożnie złożono go w bryczkę i przywieziono razem z Raciborskim. Na dziedziniec właśnie zajeżdżał doktor Stakenszmitt; ten obejrawszy rany Zaręby, rzekł, kiwając głową:

— Rany ciężkie, ale wcale życiu nie grożą. Za parę miesięcy będzie zdrów jak ryba i stanie jeszcze ze swoją narzeczoną na ślubnym końbiercu.

Panna Brygida ze smętnym uśmiechem pocałowała go w ramię.

Raciborski miał lekko przestrzeloną lewą rękę. Zajęto się troskliwie rannymi. Nazajutrz przyszła wiadomość o świetnem zwycięztwie pod Dubienką Kościuszki i cofnięciu się jego do Krasnegostawu. Kniaziewicz, Potocki i Kwaśniewski z tej krwawej walki wyszli szczęśliwie. Nieprzyjaciół straciwszy do 4000 w zabitych i rannych, nie śmiał postępować śladami cofającego się zwycięzcy. Tocia, zajęta chorymi, orzeźwiała w swoim smutku; kilku jeszcze przybyło rannych żołnierzy, którzy znaleźli wygodny przytułek i opatrzenie. Doktor po tygodniu wyjechał w okolice i gdy go oczekiwano z utęsknieniem, przybył, ale wielce zmieniony i pomieszany. Dał znak Żurowskiemu i obaj wyszli do ogrodu.

— Wszystko przypadło—rzekł z eicha—przelana krew daremnie! Król Jegomość przystąpił do konfederacji Targowickiej...

— To być nie może—zawołał Żurowski.

— Kiedy tak jest, mój prezesie—odrzekł Stakenszmitt i pokazał manifest Stanisława Augusta.

Żurowski zaledwie go przeczytał, rzucił z oburzeniem na ziemię i załamał ręce w niemej rozpaczy.

— Cóż robi książę Józef Poniatowski, co Kościuszko?

— Obaj—mówił doktor—podali się do dymisji wraz z wszystkimi wyższymi oficerami. Trzeba ostrożnie i naszym rannym o tem powiedzieć; porucznikowi możesz prezes powiedzieć, a ja sam przygotowuję rotmistrza. Zdrowie w tym człowieku żelazne: inny leżałby ze dwa, trzy miesiące, a ten po trzech tygodniach już zdrów będzie.

Zarówno Raciborski, jak Zaręba przyjęli tę niespodziewaną wiadomość z oburzeniem i bezzwłocznie podali się do uwolnienia.—Raciborski z ręką na temblaku, podziękowawszy serdecznie gospodarstwu za pomoc i gościnność, wyjechał do Warszawy. Zaręba zaczął powoli podnosić się z łoża boleści. Już o swej mocy chodził, gdy siedząc na ganku, posłyszał turkot bryczki i rzenie swego kasztana. Porwał się na nogi, a jakże się uradował, gdy zobaczył Janusza Gila trębacza, po cywilnemu przebranego, cztery swoje konie, a w dodatku dzielnego siwka Raciborskiego!

Po uspokojeniu się nieco w kraju prezes zamyslał wrócić się do Ihnatowic, a po ślubie siostry oddać Zarębie Zahajpole w dzierżawę za tak niską cenę, ażeby się prędko mógł czego dorobić. Na początku września wesele odbyło się ciche i w kółku rodzinnem. Prezesostwo z córką w kilka dni odjechali, a państwo młodzi zabrali się do gospodarki.

Żurowski teraz stał się coraz czulszym dla córki, mówił z nią często o Kościuszcze, układał plany, jakby na przyszłość marząc o połączeniu ich węzłem małżeńskim.—Ale Tucia teraz słuchała słów ojca coraz obojętniej a zasięgała starannie wiadomości, co się dzieje z jenerałem. Pomagała jej do tego jej przyjaciółka Orlewska, która mieszkając w Krakowie, donosiła, że widziała się z Kniaziewiczem i że Kościuszko, który wyjechał do Drezna, zawsze ją kocha, ale zajęty losami kraju, poszedł na dobrowolne wygnanie.

Rok następny 1793 przeminął w największej ciszy. Z nowym rokiem 1794 zaczęły ciche i tajemne wieści obiegać kraj cały, a we wszystkich ustach było tylko imię Kościuszki. Orlewska donosiła z Krakowa, że pan Tadeusz spodziewany nie długo—że świetna gwiazda jego zajaśnieje blaskiem słońca, że powinna być dumną, iż człowiek taki ukochał ją i poświęcił jej swe serce.

Tucia spoważniała wiece w obejściu; milcząca, na wspomnienia dawne, jakie ojciec teraz często przywodził, uśmiechała się smutnie, nie nie odpowiadając. Matka, zdziwiona tą zmianą widoczną, raz zapytała:

— Tociu! co ci jest? takeś się zmieniła.

— Moja mateczko!—odrzekła,—nie zmieniłam się, tylko z wesołej dziewczynki dojrzałam na kobietę myślącą, którą już osobiste szczęście nie zajmuje. On bohater—dziś wygnaniec dobrowolny, wróci (mówiła cichszym głosem), a imię jego rozbrzmi się sławą nie tylko w Polsce, ale po całym świecie. On mnie kocha, a ja dumną jestem miłością jego i przy jego imieniu, moje, kiedyś może, wspomną. Dojrzałam, moja mateczko, cierpieniem i bólem—dziś mnie nic nie obchodzi, tylko ścigam jego ślady, gdzie się obraca. Teklusia mi pisze, że wkrótce pojawi się w Krakowie—wtedy, mateczko moja pośpieszmy tam, abym go chociaż

z daleka zobaczyć mogła. Przyrzekasz to mi, moja droga?

— Dobrze moje kochane dziecię!—odrzekła zacna matrona, zanosząc się od płaczu.

XV.

Rok 1794—1800.

W skromnym dworze Zahajpola suty się palił ogień na kominie; siedząc przy nim i paląc fajkę drzemał rotmistrz Zaręba. Bliżej okna siedziała jego żona na kanapie, kołysząc małego synka.

— Brygisiu złota! — rzekł rotmistrz — czy Janusz jeszcze nie wrócił?

— Nie, mój Stasienuku, spodziewam się go dopiero najprędzej jutro rano.

— Moja Brygisiu, przeczuwam, że mnie na apel zawołają, bo znowu się chmurzy na naszym niebie.

— Nie będę cię zatrzymywała, gdy powiesz mi: trzeba iść, Brygisiu.

— Brygisiu złota — mówił, powstawszy i siadając obok małżonki. — Bóg mi dał wielkie szczęście, dając ciębie za żonę.

I całował ją i pieścił.

— A nasz Tadeuszek śpi jak susel. Żeby tylko ojca pamiętał!

Westchnął ciężko i opuścił głowę na piersi.

— Nie było wiadomości z Ihnatowic?

— Bratowa z Tocią wyjeżdżają do Krakowa, tam bawi i Teklusia.

— Kniaziewicz i Potocki — mówił rotmistrz—siedzą tam oddawna. Ja czekam wiadomości od Raciborskiego. Czy wiesz, ożenił się, ma już syna i córkę, a dzieci tak piękne jak ojciec. Chowam mu siwosza zdrowo, może jeszcze go dosiędzie, jak ja mego kasztanka.

Kiedy domawiał tych słów, drzwi się rozwarły i wszedł trębacz Janusz. Brygida zdrząła, a rotmistrz zerwał się, przystąpił do niego i zapytał:

— I cóż nowego?

— Panie rotmistrzu! już czas, wołają nas do apelu. Jutro konie będą gotowe i siwosz naszego porucznika. Oto rozkaz.

Zaręba odczytał pismo i rzucił na komin.

Żona zoiha przy kołysce lkała.

— Brygisiu, złoto moje! lzy na stronę, tyś małżonka rotmistrza Zaręby. Zrób przybory, bo jutro z rannym brzaskiem hajda na koni i w pole! Janusz oczyść trąbkę swoją! Oddział jazdy niech się zbierze w lesie nad granicą, damy hasło ze wzgórze pod dębami.

Zaręba do północa pisał. Skreślił list z pożegnaniem do Żurowskiego, oddając pod jego opiekę żonę i syna, a na pamiatkę swemu pacholęciu napisał kilka wyrazów serdecznych.

Jak tylko świtać zaczęło, pożegnawszy płaczącą żonę, pobłogosławiwszy śpiącego syna, westchnął ciężko, przeżegnał się i ruszył w towarzystwie Janusza, w swój mundur ubranego, i czterech jeźdźców. Siwka Raciborskiego prowadzono luzem przy bryczce.

Gdy przybyli na to samo wzgórze, z którego Żurowski patrzył na bitwę pod Dubienką, Janusz zatrąbił pobudkę, a z lasu wysunęło się do stu jeźdźców, nad którymi objął Zaręba komendę i ruszył wolnego kłusa boczną ścieżką.

Było to w połowie marca 1795 roku. Równocześnie prezesowa Żurowska z córką dojeżdżały do Krakowa w towarzystwie tylko Walentego kreden-carza.

Za przybyciem do dawnej stolicy Jagiellońskiej, stanąwszy w rynku, dały znać Tekli Orlewskiej, która natychmiast przybiegła, ciesząc się serdecznie

z ich przyjazdu. Nazajutrz Potocki i Książewicz odwiedzili je wieczorem; czekał na Kościuszkę, o którym umyślnie rozpuszczono wieść, że wyjechał do Ameryki. Tocia z bijącym sercem słuchała tych wiadomości.

Zaręba niedługo spotkał się z Raciborskim, któremu oddał siwka. Cały oddział, do 200 koni wynoszący, zwrócił drogą w krakowskie.

W nocy z dnia 23 na 24 marca Kościuszko przybył do Krakowa. Uwiadomiona o wszystkim, prezesowa z córką raniutko przybyły do kościoła OO. Kapucynów, gdzie w kaplicy Loretańskiej w ciemnym zakątku stanęły. Wkrótce przybył Kościuszko z generałem Józefem Wybickim i tu poświęcono im szablę. Wtedy po błogosławieństwie kapłana wznosząc swój pałasz zawołał wzruszonym głosem:

— Daj Boże zwyciężyć lub umrzeć!

— Słyszysz matko jego przysięgę? — rzekła drżąca Tocia. On ma teraz inną bogdankę, dla mnie wszystko się skończyło...

I padła krzyżem w gorącej modlitwie.

Ukryta w oknie była świadkiem uroczystości ogłoszenia Kościuszki naczelnikiem narodu, a gdy wyruszył z miasta, co rychlej z matką wyjechała napowrót do Ihnatowie.

Żurowski po odebraniu listu rotmistrza pospieszył do Zahajpola, pocieszając osamotnioną siostrę. Zachęcał do wytrwania i nadziei, że Bóg jej męża zachowa.

Wieść o zwycięstwie pod Racławicami dnia 4 kwietnia obiegła cały naród, poszły zatem klęski i pomyślna obrona stolicy na przemiany.

Na początku października w Ihnatowicach oczekiwano nowych wiadomości z obawą; przybyła właśnie pani Zarębina uradowana listem od męża, w którym jej donosi, że zdrów wraz z Raciborskim,

że widział się z Kościuszką; ale teraz z pułkiem swoim zdala jest od niego.

Dnia 10 października straszna wichura zadęła, ciemne chmury pokryły niebo. Starzy ludzie wrócili jakieś wielkie nieszczęście, jakoż w kilka dni przyszła straszna wiadomość, że dnia tego stoczoną została krwawa bitwa pod Maciejowicami i wojsko polskie poniosło klęskę, a Kościuszko ranny wraz z wielu innymi dostał się do niewoli. Temuż losowi uległ i Kniaziewicz. Chorążanka, gdy się dowiedziała o tem, zbladła jak marmur, oczy jej przyciasły, całą noc przetrwała na modlitwie, a nazajutrz chodziła po całym dworze milcząca, wdychając.

Orlewska przybyła tego dnia, złamana wiadomością o Kniaziewiczu. Obie przyjaciółki uściskały się w milczeniu, żadna łza ich boleści serca nie ulżyła.

Zarębina trawiona niepokojem, pospieszyła pierwszych dni listopada do Zahajpola, a w dni kilka na podwórzu z bryczką i sześciu końmi ukazał się Janusz, znowu bez munduru, tylko w kubraku.

Brygida na ten widok mało nie omdlała, zebrała resztę sił i wybiegłszy na ganek, zawołała:

— Januszu, gdzie pan? gdzie mój Stanisław?

— Żyje, zdrów i wkrótce tu będzie. Mnie wysłał przodem, a tu mam list do pani.

Brygida upadła na ławkę w ganku, jak przed chwilą przestraszona, tak teraz radość odjęła jej siły. Wróciła do pokoju i odczytała pomyślną wiadomość, że prawdę powiedział stary Janusz.

W parę dni nadjechał Zaręba, ale osmutniały i ponury. Powitał serdecznie żonę, uściskał syna, który do niego rączyny wyciągnął, ale pieszcząc go, z płaczem mówił:

— Dałem ci imię, mój chłopcze, naszego generała, a on daleko się odbił... już go pewnie więcej nie zobaczę, ani uścisknę jego ręki.

— A porucznik nasz, Józef? — pyta żona.

— Biedaczysko! niewiem czy żyje! Kula armatnia urwała mu prawą nogę. Leży w Warszawie, daj Boże, żeby wyzdrowiał.

— Cóż teraz będziemy robili nieszczęśliwi, mój Stasiu?

— Ha! zawieszę szablę na kołku, a wezmę się do pług, moja Brygisiu! jak powiedział mi nasz kochany generał. Cóż tam się dzieje z chorążanką i z panną Teklą?

— Siedzą, mój Stasiu, w Ihnatowicach z rozpaczą w sercu, bo płakać nie mogą, a łzy jedne, co czyszczą serce z bólu i cierpienia.

Odtąd rotmistrz odetchnąwszy po trudach obozowych, oddał się gospodarstwu i miał w swym smutku i samotności tę pociechę, że odebrał list od Raciborskiego, iż żyje, zdrów zupełnie, choć kaleka. Prosi, aby siwka, którego Janusz przywiózł do Zahajpola, przyjął w darze na pamiątkę, bo już go sam nigdy nie dosiędzie. W dopisku jego żona przyrzekała, że latem będą się starali odwiedzić rotmistrzostwo z dziećmi swemi, aby poznały małego Tadeuszka.

W Ihnatowicach żałoba: prezesowa z córką i panną Teklą siedziały zamknięte, nie przyjmując nikogo. Żurowski posmutniał, ale wyjeżdżał często w sąsiedztwo dla zebrania jakich wiadomości. Coraz smutniejsze nadchodziły. Wreszcie padła jak piorun wieść o wyjeździe z Warszawy króla i ostatnim rozbiórce kraju.

Prezes za przybyciem do domu wszedł blady, jak trup do pokoju żony.

— Co ci to Macieju? — zapytała wystraszona żona.

Żurowski nie odrzekł, tylko padł na kolana przed obrazem Bogarodzicy i zaczął coraz rzewniej płakać.

— Macieju, przez miłość Boską, powiedz, co się stało...

Wtedy szepnął jej tylko kilka słów ochryplym głosem i padł krzyżem.

Zareba na otrzymaną tę wiadomość nie odrzekł słowa, zdjął szablę z kołka, popróbował ją w zamachu, schował do pochwy, a potem gwiżdżąc piosnkę obozową, wyszedł do stajni. Brygida z przestachem śledziła jego kroki. W stajni długo rozmawiał z Januszem; ścisłał go, całował i wybuchnął głośnym płaczem. Nogi pod nim się ugięły i byłby upadł na wznak, gdyby go trębacz nie podtrzymał. Zaciągnął go na swoje derki i położył, a sam pobiegł do pani. Brygida już biegła z anodynami i spirytusami nacierać skronie i pulsa, gdy z wielkiem podziwieniem zastali go stojącego, z dzikim wzrokiem, ale nikogo nie rozpoznawał. Z pomocą Janusza przeprowadziła go do dworku i w łóżko ułożyła. Dał się powodować jak dziecko, słowa jednego nie wyrzekł, tylko osłupiałem spojrzeniem przerażał. Po kilku godzinach zaczął się uspokajać i zmęczony znać wysileniem zasnął twardo. Spał wbrew swemu zwyczajowi do piętnastu godzin, ale obudził się zupełnie bezsilny. Nie mógł się ruszyć, czuł ból w całym ciele i kościach. Po trzech dniach czulej opieki i starań żony podźwignął się z łóżka, zmieniony nie do poznania. Oczy zapadły, twarz wychudła, spojrzenie jakby zamdlone. Całą niemal zimę, mało co mówiąc, siedział przed kominem, z podziwieniem Janusza nie biorąc fajki do ust, tak ulubionej niegdyś. Dopiero z wiosną zaczął orzeźwiać się nieco, na św. Józefa napisał list do przyjaciela Raciborskiego z powinszowaniem i pierwszą wypalił fajkę. Jakaż to była radość dla poczciwej Brygidy i Janusza, gdy dawnym tonem rotmistrz zawołał:

— Brygisiu złota! podaj mi chłopca naszego.

A do Janusza:

— Hej! kolego! dajno lulkę.

Zaszła jednak w jego sposobie życia wielka zmiana. Kładł się później, niż zwykle, modlił się na kłęczkach, a żona i Janusz podsłuchali nieraz, że płakał rzewliwie i coś sam z sobą długo rozmawiał.

Na wielkanoc pierwszy raz wsiadł na swego kasztana, a potem objeżdżał siwosza darowanego. Kiedy zsiadł z niego i ucałował go w oczy, Janusz widział, że lzy gęste spadały rotmistrzowi na wąsy.

XV.

Po wielkiej burzy wojennej nastąpiła głęboka cisza. Morski, nasz znajomy poseł wielkiego sejmku, na wiadomość o wyjeździe króla Stanisława Augusta i ostatnim rozbiórce kraju, wydał tylko jeden krzyk bolesny i padł nieżywy: pękło w nim serce. Kniaziewicz, wzięty po klęsce pod Maciejowicami, po dwuletniej niewoli przybył do Wojciezskowa w Lubelskie, gdzie mieszkała jego macocha, którą jak matkę kochał.

Osiadł w futorze wśród gęstych lasów, a w samotności upiększał swoją siedzibę wiejską. Założył pełen smaku ogród, drogi powysadzał drzewami. Tak oddany pracy, marzył o uroczej bogdance, którą widział w Krakowie w pamiętnym dniu, kiedy Kościuszki dłoń uściskał po długim niewiedzeniu.

W tym futorze zastał go Józef Drzewiecki, towarzysz broni i walki pod Maciejowicami. Serdeczne było dwóch przyjaciół powitanie i długa rozmowa, po której Kniaziewicz powziął postanowienie niezmiennie.

Opuścił futor, który ukochał, na zawsze--pożegnał tę, co mu od lat dziecińczych miejsce najczulszej zastępowała matki i wraz z Drzewieckim ruszył do Krakowa.

Tu po kilkoletniem niewidzeniu, ujrzał Teklę Orlewską, która przy swej stryjenke mieszkała. Rzewne było ich powitanie: Kniaziewicz odkrył jej swój zamiar przedarcia się do legionów; piękna zawsze panna Tekla, lubo z bólem serca i zażawionemi oczyma, nie powstrzymała go w tym szlachetnym zamiarze.

W przeddzień wyjazdu rano w kościele Panny Maryi na rynku, przy bocznym oltarzu, odprawiała się msza święta. Siwy kapłan po jej skończeniu dał błogosławieństwo dwojga klęczącym i relikwiarz do pocałowania.

Była to Tekla Orlewska i Kniaziewicz, którzy wobec Boga przyrzekli sobie wierność i że żadne z nich innych ślubów nie powtórzy.

Kiedy powstała ze stopni ołtarza dziewica, oblicze jej jaśniało szczególnym wyrazem rzetliwości.

— Będę ci wierną, mój Karolu, do grobu i pamięć a wspomnienie twoje nigdy mnie nie opuści!— wyrzekła wzruszonym głosem.

— Będę ci wiernym i nigdy cię niezapomnę:— odrzekł Kniaziewicz. — Tu w tej świątyni przyjmij moje pożegnanie i ostatnie moje: bądź zdrowa! z nadzieją, że Bóg nas połączy i da upragnione szczęście.

Orlewska ze stryjenką wróciwszy do domu, w modlitwie i łzach dni następne przepędziła. Kniaziewicz z Drzewieckim opuścili dawną stolicę Jagiellońską.

Piszząc do swej Toci w tydzień później, opowiedziawszy szczegóły, zakończyła temi słowy:

— „Tak więc, moja droga, choć nie zaślubiłam Karola, uważam się teraz związaną jakby ślubem, któremu pozostanę wierną. On mnie kocha, jam narzeczoną jego, może Bóg odmieni łzy moje na uśmiech wesela.”

Grobową ciszę w Ihnatowicach przerwał niespodziewany wypadek. Pierwszych dni wiosny, w drugiej połowie maja, nadbiegł pod wieczór zadyszany arendarz, donosząc prezesowi, że do karczmy zajechała jakaś księżna, ale pomieścić się ze dworem, ani wygody dla siebie znaleźć nie może.

Żurowski wdział więc kontusz co rychlej na codzienny żupan i pospieszył drogą do karczmy, przed którą stała podróżna karetka i bryka brocka ładowna.

W izbie karczmy brudnej, zakopconej i dymnej robiono przygotowania do jej oczyszczenia i obicia dywanami: pod oknem siedziała dostojna podróżna, wachając co chwila z flakonika.

Żurowski już się dowiedział, że to była księżna Lubomirska, z domu hetmanówna Sosnowska, a zawdzięczając wiele tej rodzinie, rad był, że potrafi odslużyć się jaką grzecznością.

— Mościa księżno!—rzekł, kłaniając się z uszanowaniem — zapomniałaś widać Wasza książęca Mość o staropolskiej gościnności i o wiernym słudze domu Lubomirskich. Mój dworek niedaleko, czem chata bogata, tem i rada, ale znajdziesz Wasza książęca Mość równie jego wrota, jak i serca otwarte i chętne na przyjęcie tak znakomitego gościa.

Księżna żywo z ławki, dywanem okrytej, powstała, radość błysnęła na jej przybladłym licu, podała uprzejmie rękę prezesowi, który ją ucałował i wdzięcznie podziękowała, przyjmując ochotnie gościnność ofiarowaną sobie.

Jakoż niebawem upakowano napowrót w części wydobyte rzeczy, a księżna kazawszy karcie i bryce jechać do dworu, oświadczyła chęć przejścia się pieszo wraz z szanownym gospodarzem.

Żurowski uszczęśliwiony przyjęciem gościny, szedł z odkrytą głową, pomimo, że go księżna prosiła, aby włożył czapkę. Prezes niby nakrywał podgoloną czuprynę, lecz wkrótce zdejmował rogatywkę, narzekając, że wieczór ten, nawet podczas bujnej rosy, gorący i duszny.

Uwiadomiona wcześniej o przybyciu księżny, prezesowa z córką oczekiwała na ganku i powitała nadchodzącą z uszanowaniem. Księżna przyjęła skromną wieczerzę, a dziękując uprzejmie za tak gościnne przyjęcie, udała się wcześniej na spoczynek.

Przygotowano dla niej dwa pokoje, dotykające sali środkowej. Wszedłszy do swej sypialni, prędko zrzuciła ubranie podróżne, a odprawivszy pannę służącą, zamknęła drzwi i jakby zmęczona usiadła na kanapce małej pod oknem.

— Spełniłam mój zamiar! Jestem tu — myślała sobie — i poznałam jego bogdankę, przy której zapomniał o mnie!

Było to w roku 1798, w lat siedem prawie od pobytu Żurowskich w Międzybóżu. Panna Tekla, owa pieszczona Tucia, liczyła teraz rok dwudziesty czwarty życia, a jakkolwiek przeszła wielkie cierpienia, wdzięki jej w niczem nie ucierpiały i też samą pięknością, co dawniej jaśniały.

Oblicze zachowało tak młode, że spojrzawszy, nikt nie mógł jej więcej liczyć nad lat szesnaście lub siedemnaście: wiotkość w postaci całej pozostała.

Blask oczu jaśniał dawnem życiem, częściej wszakże rosily się łzami i zachodziły mgłą, przegaszając ogień spojrzenia.

Jedna tylko, ledwo znaczna rysa na czole w chwili głębszej zadumy czasem wydatniała; wyzłobila ją praca myśli, pobudzanej bólem serca, co straciło nadzieje szczęścia.

— Prawda, że piękna — myślała dalej księżna — i mógł ją ukochać, gdy mnie oddzieliło od

niego na zawsze przeznaczenie smutne! Starajmy się bliżej poznać — może w jej towarzystwie znajdzie ulgę biednemu sercu...

Tłum wspomnień ją otoczył; myślą przeniosła się do owych Sosnowie w Lubelskiej ziemi, gdzie pierwszy raz Kościuszkę poznała i pierwszy raz młode jej serce uderzyło gwałtownem uczuciem. Przed oczyma jej duszy stanął ów dwór wielki hotmański, do którego wjeżdżało się mostem i owa oficynka murowana, w której z siostrą starszą Katarzyną mieszkała pod opieką krewniczki panny Karoliny Zenowiczówny. Komnatka nie wielka, ale gustownie urządzone, pełna kwiatów i woni. Stół dywanem nakryty, na nim książki i papiery obok trzy krzesła, które zajmował Kościuszko z młodemi uczenicami swemi. Na kanapce siedzi panna Karolina, haftując na krosienkach, nauczyciel opowiada dzieje Grecji, a gdy spotka pełne uczucia spojrzenie pięknej Ludwiki, runieniec krasi jego oblicze, zaczyna się jąkać i słów dobrać nie umie.

— Co ci to, panie Tadeuszu? pyta dobrotliwa ochmistrzyni haftująca.

— Nie to, nie! — odpowiedział pomięszany, — zapomniałem nazwiska greckiego wojownika, o którym miałem właśnie mówić.

Panna Katarzyna uśmiechała się wtedy, a młody nauczyciel, niby przeproszał swe uczennice, całował i ścisnął drobne rączki najbliższej siedzącej Ludwini.

— Ach! poszepnęła z cicha księżna, były to jedyne chwile mego szczęścia w całym życiu.

Westchnęła boleśnie, opuściła głowę na piersi, a łzy zabłyszczały w jej oczach.

Zdawało się w jej zadumaniu smutnem, że słyzy cichy szept Tadeusza, jak wyznaje swoją miłość i namawia do ucieczki, malując wymownie całą przyszołość uroczą. Oblicze księżnej rozpromieniło się radością na to wspomnienie, ale wkrót-

ce zasępiąło na nowo, gdy przypominała sobie groźne oblicze ojca i wygnanie z Sosnowic tego, którego tak ukochała.

Całą pamiątką po nim zostały jego ręką sadzone w okół dworu świerki i piękny park lip wronych. — Potem nasunęła myśl coraz smutniejsze obrazy, samotność w oficynie murowanej i łzy jej ciche, tajemne niepodzielane z nikim. — I gdy ożywała wspomnienia ubiegłe, stanęła postać jej narzeczonego, księcia Józefa Lubomirskiego — jej ślub i świetne wesele, na które wystąpił hetman z całym przepychem magnackim, a w lat kilka płacz i łkanie liczego dworu, gdy zwłoki zimne i martwe spoczywały na wspaniałym katafalku. I znów pozostała sama wdowa, ale teraz wolna i swobodniejsza.

Sława, którą się okrył w Ameryce Kościuszko, ożywiła w jej sercu dawne uczucie. — Widziała go w Warszawie, kiedy jej mąż przedstawiał jako dawną znajomość znakomitego generała. Ale Kościuszko w księżnie Lubomirskiej nie chciał poznać swej Ludwini.

— Jestem wolna teraz — mówiła do siebie — nie utraciłam wiele wdzięków, mam majątek, gdy on sam i opuszczony. Pojadę — ofiaruję mu swą rękę, której nie odrzuci, jeżeli zbyt nieukochał chorążanki.

To wspomnienie wywołało jej bolesne westchnienie.

— Trzeba zbadać bliżej wszystko — otwartością dojdę do celu.

O północy zaczęła lać ulewa: księżna rada jej była, bo Żurowski ani chciał mówić o jej wyjeździe.

Chorążanka po przybyciu księżny do Ihnatowic zajęta wyręceniem matki w przyjęciu, nie pomyślała, że to jest ta sama Ludwika Sosnowska, którą Amerykanin pierwszą miłością ukochał. Ale

w wieczornej rozmowie, a szczególnie nazajutrz z kilku słów ojca odkryła tę wiadomość i zaczęła więcej uważać, że ją ściga ciągle wzrok księżnej niespokojny.

Kościuszko wówczas już powrócił z Ameryki, gdzie był po wypuszczeniu z niewoli wyjechał i osiadł stale we Francji. Księżna niecierpliwa, żeby się dowiedzieć czy istnieje jeszcze jaki stosunek pomiędzy nim, a rodziną Żurowskich, zapytała z obojętnem na pozór obliczem przy śniadaniu:

— Czy nie słyszałeś czego, mój chorąży, o jenerale Kościuszcze?

— Nie nie wiem, Mościa księżno! — odpowiedział spokojnym głosem — od czasu jego niewoli i wyjazdu do Ameryki, tyle wiem, co z gazet czytamy. Nikogo niema w naszych okolicach, co by miał z tym wielkim bohaterem naszym bliższe stosunki.

Księżna utkwiała wzrok badawczy w chorążankę, ale ta bez żadnego wzruszenia na obliczu, jakkolwiek żywiej jej serce uderzyło na wspomnienie ukochanego imienia, podawała jej konfitury własnego smażenia.

— Wasza książęca Mość, rzekła z uśmiechem wdzięcznym, nie możesz się pochwalić, że używasz małych przyjemności gospodyni wiejskiej w przyrządaniu przysmaczków. My to je tylko szlachcianki mamy.

— Mój ojciec, odpowiedziała poważnie księżna, wyrósł na wojewodę i hetmana z prostego szlacheica, a mój tytuł, wierz mi, kochana panno chorążanko, oddałabym chętnie za jedną chwilę prawdziwego szczęścia...

Mówiła to głosem wzruszonym, a łzy błysnęły w jej oczach. Tocię rozbroiła temi słowy: spojrziała na nią pełnym współczucia wzrokiem. Zrozumiała go księżna, bo po śniadaniu wzięła ją za

rękę i przeszła do jej komnatki. Gdy były same, wyrzekła drżącymi ustami:

— Nie chcę tacić, panno Teklo, że ja jestem ową Ludwiką Sosnowską, którą ukochał pierwszą miłością Kościuszko. To uczucie zrobiło go wygnańcem, ale dało mu sławę i głośne imię. Wiem, że ciebie kochał z równym, jak mnie z zapałem i to wiem — dodała ciszej — że cię jeszcze kocha.

— Mościa księżno, czyż zasłużyłam na to, aby przygojone rany serca mego, na nowo otwierać i zakrwawiać? I załkała rzewnie.

— Nie tego, moja droga Teklo, chciałam — mówiła pełnym łagodności głosem księżna — pragnęłam cię poznać i przyznam się, bo fałsz mam w obrzydzeniu, że unyślnie tę podróż przedsięwzięłam. Miłość jego, to zaszczyt dla każdej kobiety, bo to człowiek szlachetny i znakomity. Jestem wdową, w pożyciu małżeńskim nie doznałam szczęścia, bo oddałam rękę stosownie do woli ojca, który miał słabość, że pragnął stać zawsze w rzędzie magnatów polskich. Umiem cenić niedolę drugich i twoje cierpienia, bom i ja przeboleła wiele w życiu mojem zawodów! Daleką jest zazdrość odemnie. Ta, którą ukochał Kościuszko, godną jest poszanowania, ja pragnę twej przyjaźni, a może znajdziemy, choć małą chwilę szczęścia, gdy będziem sobie o nim mówili.

To wyrzekłszy, wyciągnęła ręce do chorążanki, która rzuciła się w jej objęcia i obie załkały cichym płaczem.

Ten uścisk księżny, przechodząc przypadkiem, ujrzał Żurowski, odszedł na palcach do sypialni i w głęboką wpadł zadumę.

Księżna opowiedziała jej poznanie swoje z panem Tadeuszem, wzajemną miłość, a następnie, jak zmuszony był ich dom opuścić na zawsze.

Tocia odkryła dzieje swego serca i pokazała wszystkie listy pisane do siebie i matki.

Odczytała je uważnie księżna, a zwracając je chorążance, mówiła:

— Zawsze ten sam szlachetny i pełen znacznych uczuć!

Po czterodniowym pobycie opuściła Innatowice, dziękując uprzejmie gospodarstwu za tak miłe przyjęcie; a Tocię serdecznie ściskając, szepnęła z cicha: masz we mnie szczerą przyjaciółkę.

Odtąd pisywały często do siebie: księżna, mająca szerokie stosunki, donosiła chorążance o ważniejszych wypadkach z życia Kościuszki i przeniesieniu się jego do Szwajcarii, gdzie w Solurze osiadł stale przy Zeltnerze, przyjacielu swoim, otoczony miłością i uszanowaniem całej jego zacnej rodziny.

Zerwały się jednak w kilka lat te stosunki, gdy Tekla Żurowska, stosownie do woli ojca, oddała rękę Stanisławowi Chwalibogowi, skończywszy dwudziesty ósmy rok życia.

Rano w dzień ślubu po gorącej modlitwie, zanim włożyła godowe panny młodej suknie i wieniec mirtowy, napisała list ostatni do księżnej, rosząc go rzewnymi łzami, donosząc jej o swoim małżeństwie i żegnając ją, równie jak wszelkie wspomnienia dawnej swej miłości.

Księżna odczytała go z głębokim wzruszeniem.

— Teraz — rzekła do siebie — tylko mi przy stało czuwać nad jego samotnością i sędziwym wiekiem.

XX.

R. 1817—1839.

Upłynęło blisko lat dwadzieścia od chwili, gdy księżna Ludwika odwiedziła Innatowice po powro-

cie, pisała zaraz do Kościuszki list pełen uczucia, że pragnąc bohaterowi uprzyjemnić i osłodzić samotne dni życia, ofiaruje się czuwać nad jego sędziwemi laty: ale Kościuszko nie przyjął tej szlachetnej ofiary. Teraz w tęsknocie serca zapragnęła chociaż raz go jeszcze zobaczyć. Wyjechała pod pozorem podróży do Włoch i zatrzymała się w Solurze w połowie maja 1817 roku. Nie spodziewał się takiego gościa generał, gdy odebrał bilet wizytowy, że księżna Lubomirska z domu Sosnowska pragnie go odwiedzić.

Rzewne było powitanie księżny i Kościuszki po czterdziestu trzech latach rozdziału. Starość na obliczu bohatera wycisnęła w zmarszczkach i siwiznie rękę swoją, ale zachowała oblicze nie zmienione i spojrzenie pełne jeszcze młodzieńczego blasku.

Księżna, owa Ludwisia ukochana, świeża jak róża, kiedy liczyła szesnasty rok życia, teraz uczynająca sześćdziesiąty, zmieniła się wielce, nie zatrzymawszy żadnego śladu dawnego powabu, pomimo dostatków i staranności o pięć i podtrzymywanie wdzięków.—Raz po powrocie z Ameryki Kościuszko, będąc na wieczorze w zamku królewskim, był jej przedstawionym przez męża, ale skronny i nieśmiały, ani spojrzął w jej oblicze, nie wyrzekł słowa, tylko się zdaleka z uszanowaniem uklonił i spiesznie odszedł. Zachowywał więc w pamięci ową twarzyczkę cudną dziewczycy, to uśmiechniętą, to załamioną. Teraz zaledwie mógł rozpoznać, że to ta sama też Ludwika Sosnowska wojewodzianka, co to zatliła w jego sercu tak silne uczucie, które go wyгнаło z ojczyznej ziemi na długie lata. Ale wkrótce pogodził się ze smutną rzeczywistością, wdzięczny za pamięć, nie umiał dobrze wyrazów na podziękowanie. Księżna bawiła kilka tygodni w Solurze i codziennie widywała generała. Były to dni wielkiej radości dla sędziwego starca, bo

myśl jego bujała i kapała się w słodkich wspomnieniach młodości.

Odwiedzała go kilkakrotnie w jego mieszkaniu i zawsze dziwiła się nad skromnem umeblowaniem, jak i sposobem jego życia. Nie miał służby ani powozu, wyjąwszy kilku wierzchowców, darowanych mu od współobywateli, których dozorował jeden stajenny. Czarny i gruby chleb, proste potrawy i szklanka piwa lub wina lekkiego składały jego wdzięczną strawę, jak burka lub płaszcz płócienny okrycie zwierzchnie na stary surdut granatowy. W otworze od guzika zwykł zatykać różę, albo czerwony gwoździć. i zdawało się, że nie może się obejść bez tej ozdoby. Wiedziała o tem przywiązaniu do tych kwiatów Tekla Żurowska, przesyłając mu do Międzybóża doniczkę z różą czerwoną: teraz dany mieszkające w Solurze, ubiegaly się na wyścigi w dostarczaniu mu nawet wśród zimy tych kwiatów, troskliwie hodowanych w pokoju. Posłanie jego składało się z twardego materacu, dwóch poduszek i lekkiej kołdry.

Letnią porą zwykł wstawać o godzinie piątej, a w zimie o szóstej. Po śniadaniu w towarzystwie rodziny Zeltnerów, udawał się do swego pokoju i pracował, około dziesiątej rano wyjeżdżał konno, samotny i umyślnie obracał drogę w ustronie odległe od gościńca, aby niewidziany przez nikogo mógł swobodnie podumać.

Księżna wywiedziawszy się o sposobie życia i rozkładzie godzin dnia całego, tak się urządziła, ażeby mu w niczem nie przeszkadzać. Śmiała się serdecznie, gdy właśnie w czasie jej pobytu zdarzyło się, że Kościuszko szczególnie roztargniony, siadłszy na koń, zapomniał wziąć z sobą pieniędzy. Ubodzy zwykle oczekiwali go na drodze, którym rozdzielał jałmużnę. Koń tak był nazwyczajony, że na widok ubogiego stawał, i dopóty nie ruszył, dopóki nie zobaczył, że miał doręczony datek. Teraz

właśnie, za ledwie podwórze opuścił, zaszedł Kościuszcę żebrak; szuka pieniędzy nie ma; chce zwrócić konia, ale ten, jak mur stoi, nie pomaga ani szpicruta, ani ostrogi. Mówi więc do żebraka:

— Mój przyjacielu! udaj przed moim koniem, żeś odebrał jałmużnę, bo ja na przechadzkę nie pojadę, a sam przyjdź do mnie w południe, to wsparcie swoje dostaniesz.

I wyciągnął rękę do nastawionego kapelusza: biedny się uklonił, a koń dopiero był posłuszny swemu jeźdźcowi.

Kiedy w poufnej rozmowie księżna wspomniała o jego samotności, Kościuszczo odrzekł z westchnieniem.

— Przypomniał mi ją rzewnie przed parą laty pan Jullien. Przybył tu w towarzystwie syna swego, i młodego amerykańczyka Mortona. Zaprosiłem ich raz z moim przyjacielem Zeltnerem na przechadzkę do lasku St. Verena, który pani tak lubisz i gdzieśmy byli. Był to piękny jesienny wieczór, wiatr chwilowo zrywany listki rozwiewał. Jullien zadeklamował wtedy mały wierszyk Arnaulta, którego treść dziwnie odbiła się w mem sercu. Nie pamiętam całego, ale ten tylko ustęp: „Zerwany z pnia twego listku biedny, zeszedł listku, gdzie podążasz? Ja sam tego nie wiem... burza dęb złamała, który był jedyną moją podporą; wiatr mną pędzi to w doliny, to w góry, a biegnę tam, dokąd leci i liść róży, i liść laurowy.” Jakieś smutne przeczucie szepnęło mi wtedy, że na obcej ziemi skończę smutne życie, i nie mogłem się od łez powstrzymać ¹⁾.

Księżna, widząc głębokie wzruszenie starca, odwróciła jego uwagę rozmową o Polsce i znajomych mu osobach. Widząc go w weselszym usposobieniu

¹⁾ Julian w dziełku swoim o Kościuszcze wspomina o tem zdarzeniu.

nazajutrz przy wieczornej pogadance, chcąc wydożyć z niego, czy też nie zapyta o tę, którą pragnął poślubić, przypominała kwaternę jego w Międzybóżu, kasztelanową Morską, Bejzymów, księżną Sapieżynę i doktora Stakenszmitta, ale milczał uporcezywie, westchnął tylko boleśnie i odwrócił głowę.

Ostatniego wieczora, kiedy księżna miała nazajutrz rano opuścić Solurę, Kościuszczo prosił jej, jakby przewidując bliski zgon swój, aby co na pamiętkę zostawiła. Księżna spełniła jego życzenie, przesyłając mu z Lozanny złoty pierścień z napisem: „Przyjaźń enocie”, ale dar ten znalazł Kościuszcę na śmiertelnych marach. Umarł dnia 15 października 1817 roku. Księżna na wiadomość o jego zgonie, wróciła co rychlej do Solury, a przywdziawszy grubą żałobę, towarzysząc pogrzebowemu obchodowi, już jej do końca życia swego nie zrzuciła.

W końcu maja 1818 roku, wyjechał z Wilanowa Julian Ursyn Niemcewicz do Odessy. Jeden z noclegów wypadł mu na Wołyniu w Ratnie, gdzie w starym pałacu przemieszkiwała wojewodzina Sosnowska, matrona licząca lat sto trzy wieku. Dotknięta ślepotą, pomnąc dokładnie i żywo wszelkie wspomnienia dawne, nowych pojęć zupełnie utraciła. Sypiała teraz do jedenastej godziny rano, piła kawę ulubioną w łóżku, poczem wstawała i szła do pokoju zasiadając do robienia węzełków. Mało co kosztowała obiadu, ale wieczorem jadła z nadzwyczajnym smakiem i ochotą. Rozmowa przytomnych, granie w bilard, każdy gwar i hałas bawił ją i rozrywał. Kiedy mówiono o świeżych lub niedawnych wypadkach, milczała, bo wszystko, co było obecnością, już w jej myśli zamarło, ale każde wspomnienie z lat dawnych, ubiegłych, znajdowało struny w jej sercu i pamięci, które musiały się odezwać. Nad sędziwą starością matki czuwała

jej córka młodsza, Ludwika, znana nam już księżna wdowa Lubomirska. Kiedy Niemcewicz przybył do Ratna zaprosiła go do pałacu, ażeby zobaczył jej matkę; pragnęła i sama odnowić dawną z nim znajomość ¹⁾.

— Miło mi, że widzę pana — mówiła przy powitaniu — przyjaciel Kościuszki wszędzie znaleźć musi gościnne przyjęcie.

— Mościa księżno — odrzekł sędziwy poeta — czy mi tylko po nim zostały i bolesne wspomnienie. Tyle lat przebyliśmy razem w Polsce i Ameryce, w niewoli i swobodzie, a odmówiło mi niebo tej wielkiej pociechy, ażebym mógł osłodzić ostatnie chwile jego życia.

— Pragnęłam i ja poświęcić mu swe usługi w tej samej myśli — mówiła księżna — ale ich nie przyjął! O! nigdy nie zapomnę tej chwili, gdym go ostatni raz widziała. Rok temu prawie, pożegnałam go wieczorem: rano wyjechałam z Solury: o pół mili na skrócie drogi na małym wzgórk, oczekiwał przybycia mego, aby się pożegnać. Był to ostatni uścisk jego ręki! Jużem go nie zobaczyła więcej!

Głos jej drżący ucichł, łzy zalśniły w oczach.

Niemcewicz, wprowadzony na salę, ujrzał niewidomą wojewodzinę, która na wspomnienie jego nazwiska, zaraz przypomniała sobie Kościuszkę, jego starania o rękę Ludwisi, gniew męża hetmana i inne ówczesne wypadki. Wspomniała, jak się bawiła wesoło, gdy grano pierwszy raz komedję Niemcewicza „Powrót posła” i jak sak sam król Jegomość śmiał się radośnie. Gość okryty siwizną smutnie opuścił głowę na piersi, przypominając lata pięknej swej młodości, wielkie i uroczyste chwile narodowe, które wyrwały się niestartemi głoskami

¹⁾ J. U. Niemcewicza: Podróże historyczne po ziemiach polskie. Petersburg, 1859 r.

w księdze dziejów przeszłości! Po herbacie opuścił pałac osowiały i długo dumal, z boleścią przechodząc wspomnienia, które się jak pszczoły na wiosnę coraz więcej roiły. Tak przebył większą część nocy. Przed opuszczeniem tych miejsc przyszedł nazajutrz rano z pożegnaniem do księżny Lubomirskiej; przyjęła go w rannym negliżu.

— Dziękuję panu za łaskawą pamięć. Matka jeszcze śpi, bo jak wiesz zapewne, że późno wstaje. Kiedyż się znowu zobaczymy?

— Może księżna pani raczy odwiedzić Warszawę, ja tam stały mieszkam.

— Tak rychło wątpię, czy przyjadę do stolicy; matka moja coraz częściej teraz zapada, muszę czuwać nad ślepą i samotną; to mój obowiązek, gdy wszystko zresztą, com ukochała, w grobie spoczywa.

Niemcewicz ujął jej zawsze białą i kształtną rękę i rozrzewniony, patrząc na oczy zapłakane, pocałował i odszedł. Wkrótce opuścił Ratno i smutną okolicę piasków, przerosłych sośniną i błot rozległych.

XXI.

Zwłoki zgasłego bohatera nabalsamowane w Solurze, przewiezione do Krakowa złożono w kościele świętego Florjana na Kleparzu. Dnia 19 czerwca 1818 roku uroczystie przeniesiono je do katedry na Wawelu, gdzie Jan Woroniec, ukochany nasz wieszcz i kapłan, odprawił egzekwie i pełnem namaszczenia słowem, uczcił pamięć wielkiego męża.

We dwa lata postanowiono w rocznicę śmierci zacząć sypanie mogiły pod Krakowem, wówczas stolicy małej Rzeczypospolitej. Ze wszystkich stron Polski towarzysze broni, przyjaciele i ci, co umieli cenić zasługi zmarłego wodza, bez różnicy stanu,

pleci i wieku, wszystko się zbiegło na ten obchód uroczysty dnia 15 października 1820 roku.

Z pól raclawickich, na których pierwsze odniósł zwycięstwo, jako wódz powstania 1794 roku, a w nim świetnie się odznaczyli kosynierzy krakowscy, przywieziono ziemię, co posłużyła za pierwsze nasypisko mogiły. Na głównym miejscu tej krwawej walki, w najważniejszym stanowisku ubogi garncarz założył piec do wypalania naczyń; gdy przybyli kłopotali się, że właśnie z tego miejsca powinni wziąć ziemię, garncarz dowiedziawszy się o ich trosce oddał swój piec jedyny, sam go rozwalił i pomógł do nakopania ziemi.

Rano odgłos wszystkich dzwonów kościelnych zapowiedział uroczystość. Wielki Zygmunt z wyniosłej wieży katedry wawelskiej górował potężnym głosem swoim nad wszystkimi, zdawał się jęczeć żałobliwie nad zgonem tego, co mu dzisiaj wdzięczność narodowa wznieść miała pomnik trwalszy nad śpiżowe posągi.

Jeszcze brzmiał głos jego rzewny, i smutny, gdy na przedmieście Zwierzynieckie wjechał wóz pełen ziemi raclawickiej, otoczony dawnymi wojownikami, co walczyli pod wodzą Kościuszki, a za nim szło grono mężczyzn i niewiast. Na czele postępował siwy jak gołąbek, starzec, obok równie niemal sędziwa matrona. Byli to małżonkowie Żurowscy; za nimi szła Tekla, córka, teraz zamężna Chwalibogowa, która wiodła za rękę dwunastoletniego syna Józefa, wraz z Zarębą, jego żoną i blisko dwudziestoletnim Tadeuszem, jedynakiem ich.

Franciszek Paszkowski, generał i przyjaciel Kościuszki, przemówił do zebranych, przypominając jego żywot i zasługi. Stanisław hr. Wodzicki, prezes senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej, pierwszą taczka raclawickiej ziemi pokrył urnę kamienną, w której złożono opis założenia tej mogiły.

Huk dział i salwy z ręcznej broni milicji krakowskiej zwiastował wszystkim uroczystą chwilę.

Zebrani całym tłumem rzucili się do taczek podług wskazówek dozorujących, sypiąc ziemię, wznosili podstawę mogiły. Kiedy po kilkogodzinnej pracy, uderzyła chwila spoczynku, każdy podążył w swoją stronę, do koczującego pod pogodnym niebem kółka swego.

Prezesostwo Żurowscy zasiedli przy próżnym wozie, a stary kredencierz Walenty, pomimo sędziwego wieku, dobywał z krótki podróźnej zapasy żywności, kiedy od mogiły, pehając swe taczki, zbliżyły się dwie postacie. Niewiasta poważna wiekiem i grubą żalobą, i starzec pochylony już mocno, ocierając pot z uznojonego czoła.

Zaręba pierwszy wykrzyknął: „To nasz doktor z Międzybóża,” a prezes Żurowski zawołał: „To nasza księżna!”

Jakoż nie omylili się, była to księżna Lubomirska i poczciwy Stakenszmitt, którzy z dalekich stron kraju, spotykali się przy jednej pracy. Żurowscy zaprosili obojga do swego grona. Księżna powitała wszystkich uprzejmie, a Chwalibogowej podała rękę i w milczeniu uściśliła serdecznie.

Skończyły się pierwsze dni obchodu, znajomi nasi opuścili Kraków.

Z klasztoru Panien Norbertanek na Zwierzynku, po rannem nabożeństwie wychodziły co dnia przez całe lato i jesień, do pierwszego śniegu, dwie zakonnice, które taczkami nawoziły ziemię, na coraz wyższą mogiłę. Była to z siostrą zakonną Teklą Orlewską, która wstąpiła do zakonu Norbertanek reguły św. Augustyna, gdy zaszła w lata, a naręczony jej Kniaziewicz, najpiękniejszą młodocność poświęcił usłudze ojezycznej. Wierni pozostali swej przysiędze wykonanej w kościele Panny Marii w Krakowie przed dwudziestu z górą laty: Orlewska przywdziała suknie zakonne, Kniaziewicz osiadł stale w Paryżu i umarł bezżenny.

Kwaśniewski zginął w Hiszpanji przy szturmie do Saragossy, pod dowództwem Chłopickiego; Potocki w kampanji 1812 roku. Na dwa lata przedtem szambelan i staroście Koziegłowski umarł w szpitalu św. Rocha w nędzy, niedostatku i opuszczeniu, a poczciwy doktor Stakenszmit po powrocie z Krakowa wkrótce zakończył życie w Międzybóżu.

Raciborski po śmierci rodziców żony zamknął sklep w Warszawie, sprzedał kamienicę i kupiwszy wioskę na Podlasiu, przeniósł się do niej z żoną i dwójkiem dzieci. Zaręba wysłał syna do stolicy Królestwa Polskiego i umieścił w Szkole podchorążych w chwili radosnej wiadomości, że ukochany Tadeusz awansował na podporucznika do 4-go pułku piechoty linjowej wojsk polskich, zachorzał i umarł. Małżonka przywiązana, niedługo go przeżyła, mając tę wielką dla serca pociechę, że zakończyła życie na ręku ukochanego syna. Księżna Ludwika Lubomirska już spoczywała w grobie.

W pierwszych dniach października 1830 roku, zachorzała ciężko owdowiała pani Tekla z Żurowskich Chwalibogowa. Nadziei ratunku nie dawali lekarze. Przy łożu umierającej siedziała w zakonnem ubraniu Tekla Orlewska, która na wieść o śmiertelnej chorobie swojej przyjaciółki, porzuciła samotną celę w klasztorze Norbertanek krakowskich i przybyła przyjąć jej ostatnie tchnienie — osłodzić ostatnie godziny życia.

— Którego to dziś? zapytała chora.

— Dzisiaj jest czternasty, odrzekła siostra Tekla, patrząc w kalendarz.

— A więc jutro moja Tekluniu, zakończę moje cierpienia.

— Dla czegoż tak mówisz moja Tociu?

— Bo jutro rocznica jego zgonu i tam w wieczności połączą się nasze dusze.

Mówiła to spokojnym głosem umierająca i z przekonaniem religijnem.

— Teraz podaj mi to pudełko. Widzisz Tekluniu, to też sama piękna czara, którą wyrobił w Międzybóżu i przysłał w darze dla mnie przez poczciwego rotmistrza. Patrz! to jego cyfra: „T. K.”

To powiedziawszy, z ożywionem obliczem przycisnęła ją do ust swoich zsiniałych.

— Weź to i zachowaj moja droga. Listy jego oddałam memu Józiewi. Czekam i czekam na jego przyjazd daremnie.

Nazajutrz siostra Tekla podług żądania chorej odmawiała modlitwy za umierających. Przybyły probosz miejscowy udzielił po spowiedzi świętych Sakramentów. Chciała pozostać samą ze swą przyjaciółką tylko. Rodzina cała opuściła sypialną komnatę.

— Moja Tekluniu, mówiła coraz cichszym głosem, zapal gromnicę i podaj mi w rękę.

Zakonnica spełniła jej żądanie.

— A teraz, módl się gorąco za zbawienie moje, i polecaj duszę moją Bogu! Czuję, że życie ucieka! Ratuj mnie Tadeuszu!... Tekluniu!...

Wypadła gromnica ze skostniałej ręki, i zgąsło tak też zarazem jej życie.

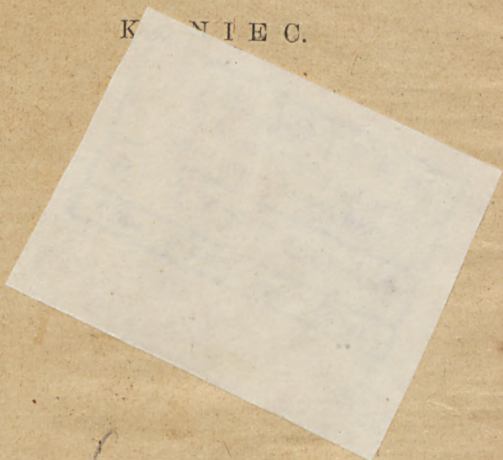
W tę chwilę zaturkotała bryczka na podwórzu. To jej syn Józef! przybiega, a widząc martwe zwłoki ukochanej matki, pada na kolana, oblewa je gorącymi łzami, i omdlałego wynoszą.

Żurowski przeżył jeszcze blisko lat trzy córkę swoją. Pomimo, że liczył około lat 90 wieku, zachował pamięć i czerstwość. Kiedy wnuka swego komu przedstawiał, zwykł po dawnemu zawsze mówić:

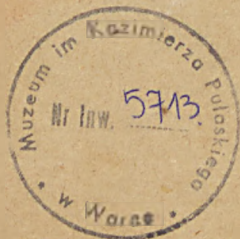
Hoc loco, mam honor Mości Panie, prezentować moją partykulkę.

Obchodził złote wesele z ukochaną swoją panią. Umarł w roku 1833 i w tymże roku zgasła jego małżonka, nie mogąc przeżyć tak bolesnej straty...

K O N I E C .



6



30, -

505970/2573

Człowiek kulturalny
NIE NISZCZY
książek wypożyczonych

